

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 12 sierpnia 1905 r. Nr. 33.

Dzielny czyn urzędnika kolejowego.

(Do artykułu na stronie 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku.

TREŚĆ: Objęcie Wawelu przez Wydział krajowy. — Wystawa przemysłu krajowego w Zakopanem. — Rozprawa o napad na komisarza Trzeciaka. — 75 rocznica niepodległości Belgii. — Katastrofa francuskiej łodzi podwodnej „Farfadet". — Emigranci żydowscy z Rosyi. — Zjazd carа z cesarzem niemieckim. — Wybryki milionerów amerykańskich. — Wojna rosyjsko-japońska i t. d.



Fot. M. Todt, Przemyśl.

Arcyksiążę Fryderyk w Przemyślu: Arcyksiążę otoczony gronem dostojników opuszcza wojskowy kościół.

Dzielny czyn urzędnika kolejowego.

(Do illustracyi tytułowej).

Że przy kolei o wypadek nie trudno, najlepszym chyba tego dowodem ciągłe nieszczęścia, o których z dnia na dzień słyszymy.

Wypadki te mają miejsce zazwyczaj na większych stacyach, gdzie z powodu ogromnej ilości odchodzących pociągów, wymaganą jest zdwojona energia i dokładność w spełnianiu powinności. Sumienność i dokładność — oto dwie zalety potrzebne każdemu dzielnemu urzędnikowi kolei.

Lekkie uchybienia przeciwko jednej z nich, na pozór bez najmniejszego znaczenia i najzupełniej obojętne, drobna opieszałość sprowadzają katastrofy, brzemienne w straszne wypadki.

Jeszcze dotąd stają nam przed oczyma tak niedawne nieszczęścia, gdzie z powodu niesumienności jednego z urzędników, tysiące ludzi znalazło śmierć na miejscu.

Wypadki te jednak zdarzają się także z powodu zbyt małej ostrożności podróżnych, jak to np. niedawno miało miejsce w Podłężu.

Jednym z pociągów osobowych, kursujących między Krakowem a Lwowem, jechał młody podróżny Franciszek Treśko. Z niewyjaśnionych bliżej powodów nie wysiadł jednak na stacyi, lecz przeczekał, aż pociąg Podłęże opuścił, i wyskoczył po za stacyą.

Skok Trześki był tak niefortunny, że biedny człowiek, zaczepiony surdutem o stopnie wagonu, byłby się dostał niezawodnie pod koła pociągu.

Pociągu nie wstrzymano, gdyż wypadek ten stał się nagle, w jednej chwili tak, że zatrzymanie pociągu okazało się rzeczą niemożliwą.

Treśko był bliskim śmierci. Kiedy nie było nikogo, ktoby mógł Treśkę wyrwać ze strasznych objęć śmierci, która coraz widoczniej mu zagrażała, podbiegł do niego pełniący tam służbę urzędnik kolejowy p. Alojzy Welfeld, i z narażeniem własnego życia starał się Treśkę od pociągu oderwać. Treśka jednak widział, zdaje się, swe ocalenie w trzymaniu się pociągu, bo ściskał wciąż konwulsyjnie stopnie wagonu. P. Welfeld nie puszczał go i starał się go ze wszelkich sił oderwać. Śmierć zagrażała również p. Welfeldowi, który byłby niezawodnie zginął, gdyby nie robotnik Józef Klima, który nadbiegł w ostatecznej chwili, kiedy koła pociągu miały zmiażdżyć Treśkę i p. Welfelda, i z całej siły pociągnął ich ku sobie. Obydwaj zostali wyratowani.

Komisya, wysłana z ramienia dyrekcyi, w celu zbadania tej sprawy, uznała, że p. Welfeld dzięki niezwykłej przytomności umysłu i z narażeniem swego życia ocalił Treśkę z pod kół pociągu.

Tytułowa rycina w dzisiejszym numerze przedstawia chwilę, kiedy p. Welfeld odrywa Treśkę od stopni wagonu.

Zjazd cara z cesarzem niemieckim.

Zjazdy monarchów mają szczególne polityczne znaczenie. Przychodzą one do skutku nie dlatego, że jeden z władców pragnąłby się widzieć z drugim, z którym go nieraz wiążą ścisłe związki pokrewieństwa, ale dlatego, że stosunki dyplomatyczne wymagają obopólnej wizyty ze strony władców dwóch narodów. Ogółem można powiedzieć, że zjazdy monarchów są jakby demonstracyą, mającą na celu okazać światu, że między danemi państwami panują stosunki jak najlepsze. Nie ulega wątpliwości, że każdy z panujących, składających sobie wizyty, ma jakieś ukryte cele, dla których zjazd doszedł do skutku.

W ubiegłym tygodniu sensacyę wywołał w całym świecie zjazd cesarza Wilhelma z carem Mikołajem II.

Zjazd ich odbył się na wodach Fińskich. Car wyjechał na okręcie „Gwiazda polarna“.

Do zjazdu tego przywiązywano ogromne znaczenie. Przedewszystkiem był on wynikiem nazbyt widocznego zbliżenia się Francyi do Anglii. Wizyta floty angielskiej w Brest, owacyjne przyjęcie,



Zjazd cara z cesarzem niemieckim: Car udaje się na pokład okrętu cesarza Wilhelma.

jakiego tam doznali marynarze angielscy, to wszystko miało aż nazbyt widoczne cechy demostracyi antiniemieckiej. Niemcy, które w ostatnich czasach tak szalenie wzrosły pod względem militarnym, nie mogły spokojnie patrzeć na sojusz dwu takich mocarzy morskich, jakiemi są Anglia i Francya. Należało tedy odpowiedzieć Anglii kontrdemonstracyą: cesarz Wilhelm postanowił zjechać się z carem i w ten sposób okazać, że Niemcy nie zostały odosobnione, ale że mają w Rosyi skołatanego wprawdzie wojną i rewolucyą wewnętrzną, ale zawsze jeszcze dosyć silnego sojusznika.

O czem obaj władcy podczas zjazdu mówili, niewiadomo. Treść ich konferencyi pozostanie, zdaje się, tajemnicą. Nie ulega jednak wątpliwości, że mówiono tam wiele o stosunkach wewnętrznych w Rosyi, że car zasięgał rady Wilhelma, co ma zrobić. I rokowania pokojowe, które za tydzień miały się rozpocząć, musiały stanowić jeden z najważniejszych przedmiotów konferencyi monarszej.

Do dziś dnia skutków tej konferencyi, skutków, któreby dały poznać choć w części treść konferencyi, jakoś nie widać. Ogłoszony już w pismach rosyjskich zamiar zamienienia Finlandyi na wicekrólestwo, którego wicekrólem miałby zostać generał Kleigels, jest, jak się zdaje, jedynym wynikiem konferencyi monarchów, jaki do dziś dnia można było zauważyć.

W uzupełnieniu artykułu podajemy w dzisiejszym numerze rycinę przedstawiającą spotkanie obu monarchów w Björke, na wodach fińskich.

Oddanie Wawelu Krajowi.

Naród pozbawiony bytu politycznego, wykreślony z karty geograficznej żyjących ustrojów państwowych — naród pozostający w niewoli — w ciężkiej choć bezkrwawej walce o nieprzedawnione swe prawa, ma jedną silną ostoję: przeszłość i jej pamiątki. I my Polacy — rozdarci politycznie przez trzy zabory, gnębieni w każdym z nich na inny sposób — mamy swoje świętości i pamiątki, których sam widok wpływa kojąco na cierpienia i napełnia otuchą lepszej — daj Boże! — bliskiej — przyszłości.

Jedną z najwspanialszych historycznych pamiątek jest Wawel, ten Wawel, gdzie według słów poety „pod sklepieniem nawy śpią polscy królowie", ten Wawel, gdzie patron Polski św. Stanisław w srebrnej trumnie spoczywa, gdzie skarbiec kościelny przepełniony jest drogocennemi pamiątkami przeszłości, a do ścian krużganków i komnat królewskich przylega tradycya świetnych minionych czasów.

Jakżeż serce każdego Polaka krwawić się musiało, gdy te święte i uświęcone przeszłością miejsca przeznaczył rząd austryacki — jakby na urągowisko narodowi — na koszary wojskowe!. Na obszernych dziedzińcach, tam gdzie rozbrzmiewały pienia polskich rycerzy idących w bój z pohańcami — rozlegał się przez wiek przeszło suchy, brutalny głos komendy niemieckiej — we wspaniałych apartamentach królów naszych gnieździło się żołdactwo, plugawiąc i niszcząc ściany i posadzki — z baszty skąd powiewała flaga narodowa, zwisała ponura czarno-żółta chorągiew, jako widomy znak w czyjem posiadaniu pamiątka narodowa i świętość Polski obecnie się znajduje.

Upokorzenie społeczeństwa, poniewieranie jego uczuciami trwało długo, bardzo długo. Aż wreszcie i nam zaczęła lepsza era świtać. Pod sprawiedliwemi i humanitarnemi rządami obecnie panującego, przychodził zwolna każdy naród do swych praw, których zdobycie nie obyło się oczywiście bez wielu ofiar i poświęceń. I my Polacy zyskaliśmy nieco, choć nie w tej mierze co n. p. nasi pobratymcy Czesi lub Węgrzy.

Jedna z największych, najdotkliwszych bolączek została: zaanektowanie Wawelu przez wojskowość. W czasie pobytu cesarza Franciszka Józefa I. w Krakowie w r. 1880 uzyskał ówczesny prezydent miasta monarsze zapewnienie, że Wawel powróci na własność miasta i kraju. Od tej chwili wysilano się by wiekopomną tę myśl w czyn wprowadzić. Cesarz ofiarował z swej prywatnej szkatuły pokaźną kwotę na ten cel, z pomocą pospieszył i Wydział krajowy i instytucye finansowe (wśród nich znakomicie zasłużyła się miejska Kasa Oszczędności w Krakowie). I ofiarność publiczna nie została dłużną świętemu narodowemu obowiązkowi. I po 25 latach przeszedł Wawel w posiadanie narodu. Trzeba bowiem wiedzieć, że wojskowość pod tym warunkiem tylko zdecydowała się na ewakuacyę Wawelu, o ile kraj wybuduje w zamian odpowiednie podług jej planu i kosztorysu nowe koszary, na pomieszczenie wojska.

Nowe koszary stanęły między ulicą Warszawską a Długą.

Koszta kolosalne, które kraj poniósł opłaciły i opłacą się sowicie w przekonaniu, że społeczeństwo wywiązało się z świętego obowiązku swego — i ciężkiemi materyalnemi ofiarami odzyskało najdroższą dziejową pamiątkę.

Wawel jest zwowu nasz!!!

Urzędowe oddanie Wawelu przez wojskowość delegatom kraju odbyło się dnia 7 b. m. o godzinie 10 zrana. Jako przedstawiciele kraju byli obecni: członek Wydziału krajowego, dr. Józef Wereszczyński; dyrektor szkoły przemysłowej i architekt Zygmunt Hendel, konserwator zabytków archeologicznych w zachodniej Galicyi, i p. Denker, świeżo zamianowany inspicyent zamkowy. Ze strony wojskowości, jako przewodniczący komisyi, oddającej Wawel, podpułkownik Piotr Fiałkowski, zastępca komendanta twierdzy, intendent Czerkawski, major inżynieryi Lustig i nadradca rachunkowości wojskowej p. Keller.

Rycina nasza przedstawia chwilę, gdy komisya wojskowa oddaje przedstawicielom kraju Wawel w posiadanie. Druga rycina — Zamek Królewski od strony... ?

Arcyksiążę Fryderyk w Przemyślu.

W wojskowych garnizonach panują niejednokrotnie godne skarcenia nieporządki, dlatego też odbywają się rok rocznie lub co jakiś czas przeglądy i badania. W ubiegłą sobotę, 5 bm. przybył do Przemyśla arcyksiążę Fryderyk, generalny inspektor, celem przeprowadzenia rewizyi 10 korpusu.

Następnego dnia w niedzielę odprawiono o godz. 9 rano mszę św., w tamtejszym wojskowym, wspaniale odnowionym kościele. Wieczorem odbyła się w kasynie wojskowym ochocza zabawa, gdzie przy dźwiękach czterech wojskowych kapel bawiono się wesoło do rana. Na zabawie był też arcyksiążę Fryderyk

Po ukończeniu wizytacyi wyjechał arcyksiążę do Wiednia.



Oddanie Wawelu Krajowi: Komisya wojskowa oddaje Wawel delegatom Wydziału krajowego na dziedzińcu pałacu królewskiego na Wawelu. Fot. E. Pierzchalski, Kraków.



POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem.

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

11 (Ciąg dalszy).

— Dobrze wam będzie – zauważył Waldman – gdy fabrykanci ustąpią wam na spółkową własność fabryk i maszyn, a to da się osiągnąć tylko przy wspólnej pracy robotników niemieckich, rosyjskich i innych. Wrogiem waszym i naszym jest tylko kapitalista i fabrykant.

Obydwaj spojrzeli porozumiewawczo na siebie, a po chwili Płużek, zapaliwszy drugiego z rzędu papierosa, zaczął z uśmiechem dobrotliwym.

— Młodzi jesteście, nie znacie nas, nie znacie kraju naszego... My z fabrykantami damy sobie w mig radę... zmówią się wszyscy i powiadamy do niego: albo, albo... to nie sztuka żadna.

— Czemuż nie robicie tego? — zawołał Waldman.

— Zaraz... toć przecie i fabrykant człowiek i tylko to może zrobić, co w jego mocy. My chcemy mieć własną kasę, fabrykant powiada, dobrze; my chcemy rozjemczych sądów robotniczych, on się godzi na to; my chcemy naszej szkoły, on chce dodać jeszcze na utrzymanie; my chcemy gromadnie się naradzić, i na to zgoda; my żądamy ośmiogodzinnego dnia roboczego, ciężko mu, ale, jak inspektor fabryczny pozwoli, niech i będzie...

— To cud fabrykantów — zadrwił Schweiger — nigdy o takim nie słyszałem, i wy, towarzyszu, żartujecie.

— Ani mi się śni — wzruszył ramionami — bo też nie o jednej fabryce mówię, ale w różnych miejscach różne stawiano warunki, i jeden fabrykant zgodził się na to, inny na owo. I wiecie dlaczego nam nietylko że nie lepiej, ale coraz gorzej? To nie wina fabrykanta, ale Moskali. I póki Polski nie będzie, nie będzie dobra i szczęścia dla nas. To moje ostatnie słowo!

— A czy was polski fabrykant będzie mniej uciskał, wyzyskiwał, aniżeli niemiecki lub rosyjski? — zaśmiał się Waldman drwiąco.

Obaj spojrzeli na siebie z pewnem zdziwieniem i Rózga, szukając słów, z pewnym wysiłkiem mówił;

— To na ten przykład... jest tak... otóż... jeśli człowieka, was, towarzyszu, dusi ktoś za gardło... albo nie... gdy wam kiszki skręcają się z głodu, czy wtedy myślicie sobie, byłoby dobrze, abym miał lakierki, źle, że kubrak wytarty, szkoda mi guzika, ej, chyba nie o takie fraszki dbacie — zaśmiał się wesoło — oddalibyście wszystko to za kęs chleba. Tak i my w naszym kraju okrutny głód cierpimy przez Moskali, usta nam zakneblowano, ręce związano. ani mówić, ani śpiewać, ani się gromadzić, ani rządzić, ani pomagać sobie, a wszystka niewola przez Moskala, i nietylko nas biedny naród tak męczy, gnębi, uciska, to też my, socyaliści, my Polacy, musimy najpierw wypędzić Moskala, wyzwolić Polskę, a wtedy pogadamy z fabrykantami.

— Polski chcecie, Polski?! — zawołał Schweiger wzburzony — i co wam dała ta Polska, gdy była wolną, prócz niewoli i pańszczyzny?

— No, no — odezwał się głośno Płużek — wolnej Polski nie pamiętam i wy nie pamiętacie, o krzywdach mi wyrządzonych przez Polskę, ani ojciec, ani dziad, ani ja nie wiemy... ale dała mi ona religię. język rodzinny i kraj własny, a cóż ja jej dam za to? Siebie całego, aby była wolna.

— Wy bardzo dziwni socyaliści — przemówił z drwinami Waldman — trzymacie się religii, jak pijany płotu i chcecie jakiejś Polski, której niema i nie będzie.

Obydwaj zczerwienili się, Rózga zerwał się z krzesła, gruchnął kułakiem o stół i krzyknął:

— Ty nie wycieraj sobie gęby moją religią i moją Polską...

Porwali się Żalecki i Walczak, przystąpili do Rózgi:

— Towarzyszu, spokoju...

— To tylko w rozmowie...

— Niechby to nie było w gościnie, przy kobietach, nauczyłbym szacunku dla religii i Polski — wołał podrażniony, wpatrując się w pobladłego Waldmana błyszczącemi oczyma. Odetchnął ciężko i usiadł na krześle.

— A mówiliście, że to towarzysze, że socyaliści — zrobił wymówkę Płażek Walczakowi.

— Bo i są nimi — bronił się.

— Hej, gdyby jaki socyalista przemówił tak w Warszawie... nie pozbierałby kości.

— To są pepeesowcy — szepnął z pogardą Walczak, rozumiejąc pod tem: polską partyę socyalistyczną.

— Wiecie, towarzyszu — zaczął po chwili Schweiger — dotychczas mówiliście o waszych... osobistych przekonaniach. ale co zrobiliście dla partyi, dla socyalizmu? Czy agitujecie, czy organizujecie się?

— Ano, jak się czas wolny znajdzie — odpowiedział Płużek — to się powie temu i owemu znajomemu... a i organizacya jest, bo trzeba przecież naród przygotować, aby się zerwał jak burza, kiedy nadejdzie chwila przepędzenia Moskali.

Schweiger zmienił się na twarzy z oburzenia, co widząc Żalecki, rzekł:

— To tak... ale jakże względem fabrykantów, przemysłowców?

— Jedno drugiemu nie przeszkadza — uśmiechnął się — ta sama organizacya zrobi i strejk, jak trzeba i zmusi fabrykanta do ustępstw. To tylko bieda, że agitatorów, co się który pojawi, wyłapują Moskale, bo moc szpiegów mają... Ilu to ja sam znałem, którzy pewno gniją gdzieś we więzieniu, albo na Sybirze? Pamiętacie, Tomaszu, tego Jakóba od Bormana... ten umiał przekonać człowieka, żeby nie wiedzieć, jaki strachajło, a przecież wszedł do organizacyi.

— Pamiętam... to był człowiek, a śmiały, a odważny... szkoda go — westchnął.

— Cóż się z nim stało?

— Przepadł jednego dnia, jak kamień w wodę... tylko jeden z naszych, co siedział w cytadeli, mówił, że Jakób był w cytadeli, ale Bóg jeden wie, co z nim zrobili?

— Więc powiadacie, że tak chwytają agitatorów? — spytał Żalecki z błyszczącemi oczyma.

— Toż dla nich największa zdobycz — uśmiechnął się Płużek — bo agitator, to jakby maszyna we fabryce, jest ogień, jest para, cóż gdy maszyny brak... i stoi wszystko. Dlatego też kupa narodu nieoświecona, i boi się knuta moskiewskiego, bo myśli, że wszechwładny, a ludzkie ręce go zrobiły, ludzkie potrafią zniszczyć.

Przy tych słowach mimowolnie spotkały się oczy Żaleckiego, Olgi, Heleny i Walczaka. możność zbudzenia sił uśpionych i zniszczania knuta zelektryzowała ich jednocześnie. Uśmiechnęli się do siebie, a Olga spytała:

— Towarzyszu Płużku, a broszury, odezwy, książki, są pomiędzy wami w obiegu?

— Mało... bardzo mało tego... jeśli kto ma, to uważa za skarb najdroższy, pilnuje jak oka w głowie, i tylko w największej tajemnicy podzieli się z przyjaciółmi. A co nas nasza gazeta kosztuje, ile ludzi zginęło, ile drukarń przepadło, ilu aresztowano za czytanie... tego nie zliczyć... a jednak zawsze jest i będzie, aż doczekamy się wolności.

— A wasze żony, córki, czy one podzielają wasze przekonania? — spytała Helena z pewną nieśmiałością.

Płużek zaśmiał się głośno i zwrócił się do towarzysza:

— Słyszycie, Tomaszu?

— Nie głuchym przecież... i dziwne mi to pytanie, albož kobieta nie cierpi, nie kocha, nie czuje? Im jeszcze gorzej, bo nas biją tylko i mordują, a ich hańbią i sromocą — kończył, groźnie zaciskając pięści.

— Nasze matki, żony, córki, to gorętsze od nas, aby tylko ich nie wstrzymać, z gołemi rękami poszłyby na bagnety. A pamiętacie, Tomaszu, jak Błażejowa chciała się rozejść ze swoim, że porzucił kamrata w potrzebie.

— Co nie mam pamiętać?... O, nasze kobiety zawzięte i pamiętne. No, nie daj Boże — zwrócił się do Waldmana — abyście, towarzyszu, im tak powiedzieli, jak nam, oczy by wam wydrapały. Ja! co prawda, uniosłem się, bo wy pewno tak źle nię myśleliście, jak wam się wymknęło... i za moje słowa ja was przepraszam, ale już taka gorączka ze mnie.

Wyciągnął przez stół swą wielką, spracowaną rękę, uśmiechając się życzliwie. Waldman podniósł się, podał rękę, mówiąc:

— Ja was, towarzyszu, szanuję za waszą szczerość i otwartość. Możemy być wrogami, ale nie przestanę was szanować.

— Dlaczegóż mamy być wrogami — zaśmiał się swobodnie — my przecież, towarzyszu, socyaliści, bracia i pragniemy jednego: złamać przemoc, przepędzić Moskali.

Waldman nachmurzył się, a Żalecki, uprzedzając jego słowa:

— Daliście nam. towarzyszu Tomaszu, dobry przykład zgody... dzielny z was człowiek, oby takich więcej.

— Ho, ho, są godniejsi — uśmiechnął się, rad z pochwały — ja tylko prosty żołnierz, ale żebyście posłuchali dziesiętnika naszego... to głowa!

— Dobrze nam tu gadać z wami, towarzysze — przemówił po chwilowem milczeniu Płużek — ale interes jest interesem. Nie możemy być ciężarem towarzyszowi Stanisławowi — spojrzał na Walczaka — miał w zeszłym tygodniu dwóch z Dąbrowy, teraz nas znowu... a i żyć na cudzej łasce nie chcemy, bo dobra jest pomoc, ale na krótką chwilę. Otóż, radźcie, jako tutejsi, gdzie szukać roboty, w której stronie?

Wszyscy z „Pochodni“ spojrzeli na Żaleckiego, który po krótkim namyśle, rzekł:

— Jutro... najdalej pojutrze, znajdę dla was, towarzysze, robotę. Może na razie nie będzie dla was, popłatna, ale...

— Byle ręce o co zaczepić — przerwał mu Rózga — już damy sobie radę, bo to żonę trzeba sprowadzić, dzieci...

— Oj, to to — westchnął Płużek — jużci nie zaznają tam biedy, pomogą towarzysze, ale jeśli chłopu ckni się bez baby, cóż dopiero kobiecie?

Uśmiechnęli się wszyscy na tę praktykę życiową, prócz gości, a Żalecki zaczął serdecznym tonem:

— Wszystko to się zładzi... przyjadą żony, dzieci, tylko odwagi nie trzeba tracić.

— Ee, tej nam nie brak — uśmiechnął się Rózga — tylko, że chociaż swój kraj, ale jakoś nieswojsko tutaj.

— Gadanie i tyle — rzekł Płużek — jesteśmy wśród swoich, Polaków, zginąć nam nie dadzą... a że wam tu nieswojsko, wiadome rzeczy, tak jest w każdem nieznanem mieście, zanim się człowiek rozejrzy.

— Prawdę mówicie — uśmiechnął się Żalecki — w Polsce jesteście, między swoimi — na te słowa Waldman i Schweiger spojrzeli z niemym wyrzutem na niego, czego on nawet nie zauważył i prawił dalej — dzisiaj zabieram was, towarzyszu Płużku, do siebie na noc, a towarzysz Tomasz prześpi się w tym pokoju.

— Ho, ho — zaśmiał się Tomasz, gładząc wąsy — jeszcze w tak uczonym pokoju nie spałem.

— Dlaczego tak mówicie? — spytał Schweiger.

— Bo tyle gazet... książek...

W tym czasie Waldman wstał, skinął na Żaleckiego i obydwaj udali się w oddalony róg pokoju.

— Ja nie mogę teraz, w nocy, wystarać się o siennik, poduszkę, nakrycie, chyba, że prześpi się na podłodze — szepnął Waldman.

— Trzeba się koniecznie wystarać... on nasz gość.

— Dlaczego Walczak nie poprowadził ich do pepeesowców? To ich ludzie.

— Wstydź się... potrzebują pomocy, to dosyć.

Helena, która ich obserwowała, zbliżyła się, pytając:

— Mówicie o noclegu?

— Tak jest... i kolega Waldman oświadcza, że nie może wystarać się o posłanie.

— Hm... poduszkę dałabym, ale siennik, kołdrę? skąd tu wziąć?

— Niech chyba przenocuje u Walczaka — szepnął Żalecki.

— U niego? Ależ on miał ich dosyć długo i niema pieniędzy.. nie można znów narzucać jednemu tak wiele — stanęła Helena w jego obronie.

— Więc co zrobić?

— Ja was pogodzę — uśmiechnął się Waldman — pożyczcie Walczakowi pieniędzy.

— Cóż to zmienia? — oburzyła się Helena — zawsze płaci.

— A gdyby mu dać z naszej kasy? — namyślał się Żalecki.

— Ja się sprzeciwiam — powiedział stanowczym głosem Waldman — to jego prywatna przyjemność, a to pieniądze partyjne.

— Nie przyjmie — westchnęła zakłopotana Helena — wiecie co? Zróbmy składkę na poczekaniu i wy przyjmiecie, i on musi przyjąć.

— Dobrze... zatem składka!

— Ja nie mam przy sobie pieniędzy — usprawiedliwiał się Waldman.

Żalecki spojrzał z niechęcią na niego i rzekł:

— Nie masz pieniędzy, to nie dasz... składam w ręce wasze dwie korony, koleżanko Borwicz.

— I ja daję dwie... jeszcze Olga i kolega Schweiger.

Żalecki i Waldman zbliżyli się do gości i wszczęli rozmowę, a Helena skinęła na Olgę, zawiadamiając ją o składce.

— Dałabym więcej, lecz mam tylko trzy korony, a ty nie masz do jutra.

— Dałam ostatnie.

Zawezwany Schweiger przyszedł zwolna, trochę zgarbiony, nierównym krokiem, jak zwykle.

— O co idzie? — spytał.

— Składka na utrzymanie robotników.

— Kto dał?

— Wszyscy, prócz kolegi Waldmana, który nie miał przy sobie pieniędzy — powiedziała Helena z mimowolną goryczą.

— Czy tylko dla tej przyczyny? — spojrzał na nią badawczo.

— Tak powiedział.

— To ja mówię koleżance, że on nie dał, bo oni są P. P. S., ale to niesprawiedliwie, oni dla mnie są tylko biedni wygnańcy. Ja mało mam, ale co mogę — zaczął starannie przeszukiwać kieszenie i kieszonki i, wręczając pięćdziesiąt halerzy, westchnął — to mój jutrzejszy obiad.

Helenie żal się zrobiło, że wciągnęła go do składki i szepnęła:

— Mogę wam jutro pożyczyć, kolego.

On spojrzał na nią, uśmiechnął się smutnie:

— Schweiger, koleżanko, nie pożycza, on nie wie, czy będzie mógł oddać — i skinąwszy głową, poszedł na swe miejsce.

Helena przystąpiła do stołu, przy którym wszyscy siedzieli i zarumieniona zaczęła:



Olga i Helena szły razem, mieszkały bowiem w jednej stronie.

— Kolega Walczak poznał nas z dwoma dzielnymi towarzyszami, chcielibyśmy ich wszyscy ugościć jak najlepiej, ale jest ich tylko dwóch, a nas pięć osób, więc abyśmy wszyscy przyjęli udział w ugoszczeniu, każdy z nas złożył swoją część. Koledzy Żalecki i Walczak przenocują towarzyszów, bo tu niema pościeli, a ugościcie ich w imieniu nas wszystkich.

Rozdzieliła pieniądze zebrane, część wręczyła Żaleckiemu, a gdy Walczak się wzdragał, wciskając mu w rękę, szepnęła zarumieniona.

— Musicie... tak uchwalono.

Wstał Płużek z krzesła i trąc ręce, aż w stawach trzeszczało, mówił rozczulony aż do łez

— Dziękuję wam za serce... za to dobre słowo. Nie sztuka dać, ale sztuka tak dać, aby nie bolało... i owszem cieszyło, że są dobrze ludzi na świecie.

— I ja to mówię — wstał Rózga — i daj Bóg, że się wam wywdzięczymy.

— Ależ towarzysze! — zawołał Żalecki z przymuszonym śmiechem, bo był również rozczulony — u nas niema zwyczaju dziękowania, to obowiązek wykły. Siadajcie, towarzysze, pogadamy.

Rozmowa się jednak nie kleiła, mimo usiłowań podtrzymania jej. Zaczęli się schodzić inni członkowie „Pochodni“, przypatrując się ciekawie dwom robotnikom, co tych krępowało i niepokoiło.

Wyszli.

Olga i Helena szły razem, mieszkały bowiem w jednej stronie. Jakiś czas milczały, silny wiatr bowiem, miotając śniegiem, huczał po ulicach, gwizdał na przecznicach i węgłach kamienic i przeszkadzał rozmowie. Dopiero, gdy weszły w zaciszną ulicę, spytała Helena:

— Czy chcesz, abym ci powiedziała, co myślisz?

— Nie wątpię, że wiesz... tam jest robota!

— Wielka i prawdziwa — westchnęła Helena.

VII.

Olga przez dwa dni prawie nie wychodziła ze swego pokoju, ku zdziwieniu i zaniepokojeniu swej stryjenki.

Opadły ją wątpliwości, czy idzie drogą prawdziwą; czy hasła „Pochodni“ odpowiadają jej pragnieniom i dążeniom; czy ziszczą one pokładane w nich nadzieje uszczęśliwienia pracującej i upośledzonej klasy robotniczej; czy wypełnią jej duszę tak po brzegi, że na inne pragnienia nie będzie już miejsca?

Postanowiła zdać sobie jasno sprawę z nurtujących w niej niepokojów, i obawiając się postronnych wpływów, nie chodziła na wykłady, nie chciała spotkać kolegów.

Naprawdę, to jej marzenia, myśli, ona cała rwała się do roboty w Królestwie, gdy usłyszała proste a tak wymowne opowiadanie robotników o agitatorach i pismach socyalnych, lecz po zastanowieniu zrodziła się w niej obawa, że ta nagła chęć może mieć źródło nie tyle w samem pragnieniu służenia sprawie, ile raczej oddziaływa na nią urok nowości, tajemniczość i niebezpieczeństwo, związane z agitacyą, nadzieja, że tam bez wielkiego wysiłku jej słowa znajdą oddźwięk, a jej działanie zaważy na szali.

Jeśli istotnie takie pobudki nią kierują, to ona jest marną, próżną osobą; niezdolną do pracy produkcyjnej, pasorzytem stronnictwa, przy którego pomocy chce zadowolić swoje egoistyczne ambicye.

Tam chce pracować i pragnie tego. Dlaczegóż tu, przy pierwszych próbach, zraziła się, tu jest pole do wypróbowania sił i zdolności. To dowód lenistwa, braku wytrwałości. to niemoc ducha, upadającego przy pierwszej spotkanej przeszkodzie.

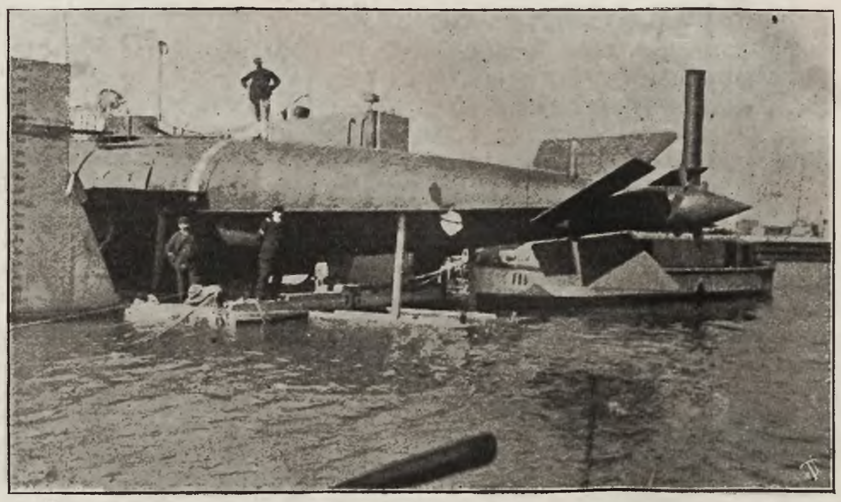
Postanowiła być silną i wytrwałą, a gdy tu doprowadzi do rezultatu, wówczas, bogata nabytem doświadczeniem, pojedzie do Królestwa.

Zresztą wyjazd w tych czasach byłby połączony z różnemi przykrościami. Musiałaby zerwać nawiązane koleżeństwo z Heleną, z „Pochodnią“, ze Żaleckim i innymi. Wytłumaczyć się przed ojcem, dlaczego przerywa rozpoczęte studya i wyjeżdża do Warszawy. Wprawdzie mieszka tam siostra cioteczna jej matki, mogłaby upozorować swój wyjazd chęcią poznania rodziny matki, ale jak tu pisać o tem ojcu, gdy będąc w Petersburgu, odrzuciła propozycyę zamieszkania czas jakiś u ciotki w Warszawie — nie, to byłoby nielogicznem. Wreszcie i przed stryjostwem trzebaby się tłómaczyć, usprawiedliwiać...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Katastrofa francuskiej łodzi podwodnej „Farfadet“: Załoga „Farfadeta“.



Katastrofa francuskiej łodzi podwodnej „Farfadet“: Łódź Farfadet“

Katastrofa francuskiej łodzi podwodnej „Farfadet“.

Jakkolwiek żegluga postąpiła w ostatnich czasach znacznie naprzód i z dnia na dzień zdumiewające robi postępy, to jednak usilne starania i wytężona praca uzdolnionych ludzi nie doprowadziły jeszcze do ostatecznych rezultatów, najzupełniej zadowalniających wyników.

Codziennie prawie słyszymy o najrozmaitszych wypadkach zatonięcia okrętów. ostatni fakt jednak, zatonięcia podwodnego statku podwodnego „Farfadet“ z całą załogą, zelektryzował świat cały i wykazał jak najdowodniej, że niebezpieczeństwo, na jakie narażają się marynarze, a zwłaszcza załoga łodzipodwodnych, jest wielkie.

Wstrząsający obraz tonących marynarzy stanie z pewnością w oczach każdego, a straszne niebezpieczeństwo, jakie ustawicznie grozi tym odważnym ludziom, zjedna im niezawodnie zasłużone poważanie.

Zatonięcie podwodnego statku „Farfadet“ miało miejsce w Bicercie, portowem mieście koło Tunisu.

Zagraniczne dzienniki zainteresowały się niezwykle przerażającą śmiercią załogi „Farfadeta“, podają też mnóstwo szczegółów, które poprzedziły sam fakt zatonięcia, chcąc swych czytelników możliwie najlepiej zaznajomić z wstrząsającą śmiercią odważnej załogi na dnie morza.

Rozpaczliwe wysiłki tonących, pragnących za wszelką cenę uratować swe życie, przewyższają wszystkie okropności, jakie może wymyśleć fantazya.

W chwili gdy łódź „Farfadet“ miała się zanużyć, klapa odmówiła posłuszeństwa. Woda wcisnęła się natychmiast z taką siłą pod pokład, że trzech marynarzy, kapitan i dwóch oficerów, wrzuconych zostało w morze. To uratowało im życie. Skoro wypłynęli na powierzchnię, postarali się przedewszystkiem o to, ażeby dostać się na przepływające inne łodzie. Reszta załogi „Farfadeta“, w liczbie ośmiu zamknęła się w tyle łodzi, dając ustawicznie sygnały na powierzchnię. Uratowanie ich było rzeczą prawie niemożliwą, zważywszy, że ilość powietrza w zamkniętej łodzi nie wystarczała na długo dla ośmiu ludzi, musimy stanowczo dojść do przekonania, że ludzie ci, pozbawieni powietrza do oddychania, skazani byli z góry na straszne zaduszenie.

Wprost trudno wystawić sobie męki tych ludzi, którzy z góry musieli zwątpić w możliwość ocalenia. Nie tracili jednak resztek nadziei i zapomocą telegrafu Morsego, alarmowali pozostałych towarzyszy. Akcyę ratunkową rozpoczęto z dwojoną energią — pozostała część marynarzy, czyniła formalnie nadludzkie wysiłki, by uratować tonących.

Szczęście nie sprzyjało jednak pracy.

Dwukrotnie podnoszono łódź z dna morza, i już tonący byli blizcy ocalenia, gdy wtem łańcuchy pękły, a „Farfadet“ ponownie zanurzył się w morskich odmętach. Tortury marynarzy musiały być straszne, bo okropną jest rzeczą ginąć, kiedy ratunek był tak blisko, kiedy biednym, duszącym się z braku powietrza ludziom, zdawało się choćby na chwilę, że ich męki szczęśliwie minęły.

Kiedy powtórnie próba nie doprowadziła do pożądanego wyniku, zwątpiono powszechnie w ratunek. Znaki alarmowe z dna morza odzywały się się coraz rzadziej, coraz ciszej — wreszcie wszystko ucichło — nieszczęśliwi skończyli na dnie morza straszną śmiercią.

Teraz starano się tylko wydobyć z dna morza łódź Przez otwory który wybito w powierzchni „Farfadeta“ przewleczono silne łańcuchy i statek wypłynął znowu na powietrze — tym razem z trupami ośmiu marynarzy.

Nieszczęśliwi straszny przedstawiali widok; w całym układzie ich ciał znać było tę rozpaczliwą a beznadziejną walkę z bladem widmem śmierci.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok illustracyę, przedstawiającą wydobycie „Farfadet'a“ z głębi morza, załogę tej nieszczęśliwej łodzi oraz „Farfadeta“ przed wypłynięciem na morze.



Katastrofa francuskiej łodzi podwodnej „Farfadet“: Wydobywanie „Farfadeta“ z głębin morza.

Fantazya milionera.

Amerykańscy milionerzy wysilają nieraz dobrze fantazyę przy trwonieniu pieniędzy. Często słyszymy wprawdzie o najrozmaitszych fundacyach i zapisach na korzyść zakładów naukowych, muzeów i pożytecznych insytucyj, coby świadczyło o wysokiem pojęciu milionerów o powinnościach i obowiązkach człowieka bogatego względem państwa i społeczeństwa, z drugiej strony jednak dochodzą nas nieraz wieści o niezwykłych zabawach, na jakie sili się fantazya niejednego z nich, jedynie w tym celu, by się potem uczynić przedmiotem ogólnego zainteresowania.

Wypadki te zadają potężny kłam twierdzeniu o głębokiem pojmowaniu obowiązków milionera względem społeczeństwa.



Kurs gier i zabaw ruchowych we Lwowie: Grupa uczestników kursu. Fot. D. Mazur. Lwów.

W Ameryce samej, gdzie nie łatwo zabłysnąć i wyszczególnić się na dłuższy przeciąg czasu, zabawy podobne rzadziej mają miejsce, dlatego też milionerzy starają się urządzać je, o ile można, poza Ameryką, w Anglii.

Niedawno zaprosił jeden z największych milionerów nowojorskich Kessler, towarzystwo najbliższych przyjaciół na ucztę w Londynie. Ekscentrycznością i pomysłem starał się pobić mniej szczęśliwych poprzedników, co mu się też po części udało.

Wspaniały, ogromny podwórzec jednego z pierwszorzędnych hoteli, zmieniono na życzenie milionera w duży staw. Przepyszne urządzenia łudziły oczy przybyłych do tego stopnia, że zdawało im się przez chwilę, iż są naprawdę w Wenecyi. Na ustrojonej kwiatami gondoli zastawił milioner przepyszny obiad, na drugiej usadowiła się wybrana muzyka, która miała na celu uprzyjemnić wybrańcom chwile podczas uczty. Lokaje, poprzebierani w stroje Wenecyan, usługiwali gościom i w milczeniu czekali na rozkazy.

Największą senzacyę wywołał znany w Londynie słoń, który niósł na swym grzbiecie najbardziej wytrawne ciasta, przystrojone w cudne kwiaty, a który potem rozdawał gościom potrawy.

Ambicya milionera została mile połechtaną, bo przez dni parę nie mówiono o niczem, jak tylko o drogiej uczcie.

Pomieszczamy obok fotograficzne zdjęcie tej kosztownej zabawy, o której rozpisywały się wszystkie pisma angielskie i francuskie. Już to trzeba przyznać, że milionerzy amerykańscy mają rzeczywiście ekscentryczne pomysły.

Kurs gier i zabaw ruchowych we Lwowie.

W grudniu 1904 r. założone zostało we Lwowie za inicyatywą dra Piaseckiego, dra Jordana, K. Hemerlinga i innych ludzi dobrej woli „Tow. zabaw ludu i młodzieży“, którego celem jest podniesienie poziomu moralnego, umysłowego i zdrowotnego za pośrednictwem gier i zabaw. Nic nie tęży tak dzielnie ciała i ducha jak gry i zabawy ruchowe na wolnem powietrzu, a najlepszym na to dowodem Anglia lub Ameryka, Czesi i Węgrzy — których narody tak dziś wysoko pod każdym względem stanęły, a to głównie dzięki racyonalnemu wychowaniu młodego pokolenia, uwzględniającemu w równej mierze potrzeby ciała i ducha.

Gry i zabawy ruchowe są u nas rzeczą nową, nieznaną prawie i nigdzie dotychczas racyonalnie nie były uprawiane, niezbędną tedy było rzeczą zapoznać przedewszystkiem świat nauczycielski i innych wychowawców z rolą, hygieną, psycho-



Fantazya milionera: Milioner Kessler urządza ucztę wenecką na podwórzu pierwszorzędnego hotelu w Londynie.

logią i organizacyą gier ruchowych — podać mu niezbędne wiadomości i wskazówki. To też „Tow. zab. l. i m." urządziło w krótkim czasie swego istnienia już dwa takie kursa, a mianowicie: pierwszy w czasie świąt wielkanocnych, drugi zaś w czasie wakacyjnym (17—24 lipca), w których łącznie uczestniczyło 182 osób, przeważnie z świata nauczycielskiego. Kursa trwały po 8 dni, a w program ich wchodziły w rannych godzinach wykłady teoretyczne, w popołudniowych zaś ćwiczenia praktyczne, od najłatwiejszych i najprostszych do najtrudniejszych i skomplikowanych.

Zdjęcie fotograficzne przedstawia grupę ochotników, którzy się podczas wolnego dnia niedzielnego na dowolne ćwiczenia zebrali na boisku Towarzystwa, nie obejmuje przeto wszystkich uczestników kursu, których było obecnie 76.



Wystawa przemysłu krajowego w Zakopanem: Dr. Andrzej Chramiec, wójt w Zakopanem, jeden z głównych inicyatorów wystawy.



Wystawa przemysłu krajowego w Zakopanem: Pawilon restauracyjny w dniu otwarcia wystawy.

Kursa te przekonały uczestników, jak małymi środkami i z jaką łatwością urządzać można takie gry i zabawy, w których brać może zawsze udział cały ogół młodzieży szkolnej — jakiem dalej znakomitem są one ćwiczeniem dla ciała i ducha. Przekonali się o tem uczestnicy na sobie samych, wszelkie bowiem ćwiczenia musieli sami na boisku przerobić i doświadczyć, ile to władz psychicznych przy każdej niemal z zabaw musi współdziałać i jak się one znamienicie w tych grach i zabawach kształcą.

Oby ci wszyscy uczestnicy kursów stali się dzielnymi propagatorami i apostołami tej zdrowej idei, a jest niepłonna nadzieja, że nowe pokolenie, które wśród tych gier i zabaw wyrośnie, nie będzie pokoleniem anemicznych mazgajów, lecz gronem ludzi silnych, zdrowych, energicznych, którzy odważnie i z podniesionem czołem staną do walki o byt i zabiorą się do obywatelskiej pracy dla dobra Ojczyzny.



Wystawa przemysłu krajowego w Zakopanem: Otwarcie wystawy dnia 20 lipca br.

Wystawa przemysłu krajowego w Zakopanem.

U stóp Gewontu, w czarującej miejscowości, w najpiękniejszym zakątku ziemi polskiej, w miejscu, gdzie w miesiącach letnich zbiera się cała inteligencya polska z pod wszystkich trzech zaborów, urządzono w roku bieżącym na sezon letni wystawę przemysłu krajowego, wystawę mającą być przeglądowym obrazem naszego rodzimego wytwórstwa.

I osiągnięto cel ten w zupełności.

Dzięki energii barona Rogera Bataglii, prezesa Ligi pomocy przemysłowej, oraz zabiegom wójta zakopiańskiego, dra Chramca, zdołano na tegorocznej wystawie zakopiańskiej zgromadzić tyle i tak różnych okazów, z najrozmaitszych gałęzi naszego przemysłu, że wystawa ta stanowi najlepszy dowód uprzemysłowienia Galicyi i jest



Obca dynastya na tronie niemieckim: Książę Karol Edward, który obecnie objął rządy księstwa sasko-kobursko-gotajskiego.

świadectwem ogromnego rozwoju naszego przemysłu.

Bo też na tej wystawie zgromadzone są rzeczy jakie tylko nam mogą być w życiu potrzebne. I to nietylko rzeczy artystycznie wykończone, ale stylowe, mogące stanowić przepiękną ozdobę najbardziej wykwintnie urządzonego salonu.

Prym na wystawie dzierżą wyroby zakopiańskie i to zarówno z zakresu tkanin, jak i wyrobów drzewnych. Nie wspominamy już o tem, jakiem wzięciem cieszy się powszechnie styl zakopiański, taki pełen prostoty, taki swojski, nasz, a piękny.



Wystawa przemysłu krajowego w Zakopanem: Baron Roger Battaglia, główny inicyator wystawy.

To też z niemałą przyjemnością zatrzymuje się oko na wystawie wyrobów drzewnych wykonanych w tym stylu. Są tam więc prześliczne biurka, wykonane nadzwyczaj subtelnie i artystycznie. Zgrabniutkie półki na książki, przepysznie wyrzynane gunki kobiece, haftowane bluzki itd itd. Wszystko to uderza świeżością stylu, żywością barw, artyzmem wykonania, stanowiąc chlubę naszych zakładów przemysłowych.

Nie będziemy się rozpisywali o wystawach pojedyńczych, gdyż wystawa znaną jest już czytelnikom z opisów w dziennikach.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok zdjęcie z otwarcia wystawy, pawilon restauracyjny na wystawie w dniu otwarcia, jeden z pawilonów wystawowych, oraz portrety barona Bataglii, wójta w Zakopanem dra Chramca, oraz dyrektora wystawy zakopiańskiej p. Galusińskiego.

Obca dynastya na tronie niemieckim.

Jak wiadomo, obecne cesarstwo niemieckie składa się ze złożonych drobnych państewek, na czele których stoją królowie i książęta. Wśród tych związkowych państw istnieje jedno, do którego wedle wszelkich praw najsłuszniejsze pretensye mogła sobie rościć angielska rodzina panująca. Jestto księstwo sasko-kobursko-gotajskie.

Cofnijmy się nieco wstecz.

Brat bezdzietnie zmarłego w roku 1893 księcia Ernesta, władcy księstwa sasko-kobursko-gotajskiego, książę Albert, był mężem angielskiej królowej Wiktoryi i wskutek tego ówczesny książe Walii, obecny król angielski i książę Connaught, mieli najbliższe prawo do tronu gotajskiego. Zdarzył się też wówczas oryginalny wypadek, który nie mało ubódł dumę cesarstwa niemieckiego, mianowicie w parlamencie angielskim dysputowano o następstwie tronu w księstwie niemieckim, jak o wewnętrznie państwowej, czysto angielskiej sprawie.

Obaj jednak książęta angielscy zrezygnowali ze swych praw do tronu gotajskiego, wobec czego



Wystawa przemysłu krajowego w Zakopanem: Kazimierz Galusiński, dyrektor wystawy.

tron objął książę Alfred Edynburski, Anglik, który nawet bardzo mało umiał po niemiecku. Po jego bezdzietnej śmierci w roku 1899, tron gotajski przeszedł na księcia Karola Edwarda Albańskiego, który obecnie, po dojściu do pełnoletności, objął sam rządy, sprawowane dotychczas przez rejencyę.

Młody książę, którego portret zamieszczamy obok, wychowywał się do 14 roku w Anglii. Później kształcił się w szkołach niemieckich. Niedawno zaręczył się z księżniczką niemiecką i to pociesza Niemców, że dynastya nareszcie się „unarodowi“.



Wystawa przemysłu krajowego w Zakopanem: Jeden z pawilonów wystawowych.

Pierścień narzeczonego.

Romans kryminalny ze wspomnień detektywa przez Gastona René.

3 (Ciąg dalszy).

Prokurator zajął się sam tą tajemniczą sprawą. On sam ani nawet nie przypuszczał znaleźć księcia przy życiu, lecz spodziewał się lada chwila wyjaśnień, któreby mu wskazały, w jakiej sferze należy szukać zbrodniarzy. Według jego mniemania, wchodziła tu w grę porzucona miłość. Na to naprowadzała go ta okoliczność, że książę znikł tuż przed ślubem. Obecnie liczył on na pogłoski, któreby mu wskazały pewien ślad, lecz nadaremnie Właśnie rozmawiał o tem z szefem policyi, gdy ten nacisnął guzik elektrycznego dzwonka.

— Proszę poprosić „szklane oczko“ — rozkazał woźnemu. — Bez niego nic nie zrobimy – rzekł do prokuratora.

— Ten skinął tylko głową i robił dalej pewne notatki.

Tymczasem zjawiła się w biurze inna postać. Wszedł bowiem mężczyzna, mogący liczyć około 30 lat, z twarzą nad wyraz dobroduszną. Kto nie znał bliżej pana Bernarda, ten musiał go uważać za parafianina, który nigdy nikomu wody nie zamącił. Jednak pomyliłby się grubo, bo pan Bernard, któremu koledzy i złoczyńcy nadali miano „szklanego oczka“, był jednym z najsprytniejszych detektywów paryskiej tajnej policyi. Potrafił on się tak zmienić, że nawet rodzona matka byłaby go w przebraniu nie poznała.

— Mamy znowu robotę, Bernardzie — odezwał się szef, z wiele mówiącym uśmiechem. — Ale robotę ogromną!

Detektyw skłonił się lekko.

— Chodzi z pewnością o zaginionego księcia de Bligny — rzekł półgłosem, przyczem ani jeden muskuł nie zadrgał w jego spokojnej twarzy Nawet oczy, które w chwilach niebezpieczeństwa albo w chwili wpadnięcia na trop tajemniczo błyskały, patrzyły teraz spokojnie na szefa.

— Tak, o księcia de Bligny – potwierdził prokurator. – Właśnie doniosło biuro Nr. 13, że wyciągnięto trupa księcia z Sekwany. Chcemy osobiście pospieszyć osobiście w to miejsce, a pan pewno także z nami. Chociażby bowiem istotnie znaleziono trupa, to i tak nie wiemy o mordercy.

„Szklane oczko“ rzekł parę słów i w parę minut później wyjechał powóz z bramy pałacu sprawiedliwości. Droga do 13 ekspozytury była dość daleka, lecz gdy wreszcie stanęli na miejscu, zdał porucznik policyi szefowi krótki raport, a następnie siadł z jego polecenia na kozioł i powóz potoczył się dalej, w kierunku małego domku, stojącego nad brzegiem Sekwany. W domku, tym bowiem złożono znalezione zwłoki. Policyant, stojący na straży, otworzył im drzwi.

Domek ten był właściwie składem, w którym przechowywali rybacy stare czółna i tym podobne graty, a teraz leżały w nim zwłoki księcia, który dopiero co otaczał się takim komfortem. W pośpiechu usunięto na bok parę czółen, aby zrobić miejsce; w środku tegoż, na szerokiej desce, leżał wytwornie ubrany trup.

Prokurator z największą flegmą oglądał zwłoki; dla niego przedstawiały one teraz ciekawy przedmiot.

Lekarz policyjny, który tuż przed wyjazdem przyłączył się do nich, nasadzał spokojnie na nos złote okulary.

— Proszę tam otworzyć okiennice, abyśmy tu mieli trochę światła — rozkazał prokurator.

Policyant wybił parę desek i do izby wpłynęła smuga światła.

Od pierwszego wejrzenia mógł każdy poznać, że zwłoki leżały kilkanaście godzin w wodzie. Czarny strój balowy był przemokniety do nitki. Nie popełniono jednak morderstwa dla rabunku, bo ciężki, złoty łańcuszek błyszczał na ciemnej kamizelce, a i brylantami sadzony zegarek tkwił w kieszeni, tylko stanął.

Prokurator spojrzał na tarczę i rzekł:

— Zegarek stanął punkt dziesiąta. W tym więc mniej więcej czasie wrzucono ciało do Sekwany.

To odkrycie miało już wielkie znaczenie.

Obok trupa leżał na podłodze elegancki, całkiem przemoknięty portfel, który na górnym zewnętrznym rogu był zaopatrzony monogramem księcia.

Prokurator przebiegł wzrokiem po leżących w nim papierach, lecz widocznie nic w nich ważniejszego nie znalazł. Najcenniejszem pismem była metryka księcia, którą zapewne chciał przedłożyć urzędnikowi stanu. Poznaczywszy poszczególne kawałki, kazał prokurator portfel wraz z całą jego zawartością zapakować i oddał go komisarzowi.

Teraz przystąpił lekarz do oględzin trupa.

Lewa ręka leżała wyciągnięta na ziemi; było na niej widać parę kosztownych pierścieni, lecz ani jednego skaleczenia; prawa ręka natomiast była w przegubie odcięta. Jednem cięciem odciął lekarz w wiadomym celu rękę.

— Będziemy mieli sposobność porównać obie części ręki! — zauważył spokojnie prokurator.

Ciało zamordowanego nie miało nigdzie zgoła więcej okaleczeń, tylko głowa była zupełnie niemi zeszpecona i zmiażdżona. Było to albo skutkiem ciężkich uderzeń, które rysy zmarłego uczyniły nie do poznania, albo płynący trup dostał się pod koła parowca.

Lekarz skończył wreszcie oględziny. Nie można było wprawdzie powiedzieć nic pewnego, lecz nikt nie wątpił, że to nikt inny, tylko książę de Bligny. Całkiem tedy zbytecznie przyprowadzono tego jeszcze przedpołudnia do trupa księcia starego sługę, aby tenże przekonał się, czy ubranie należy do księcia! Prokurator wydał rozkaz, aby trupa zawieźć do paryskiej morgi, jak to zwykle w takich wypadkach. Potem powróciła komisya sądowo-lekarska do pałacu sprawiedliwości.

W godzinę później zjawił się François w morgie. Zaledwie rzucił okiem na strasznie pokaleczonego trupa, rzucił się ze strasznym krzykiem na kolana.

— Oto mój biedny, nieszczęśliwy pan! — zawołał.

Z wielkim tylko trudem udało się towarzyszącemu komisarzowi uspokoić go; musiał on nadto skłonić starca do szczegółowego oglądnięcia poszczególnych części garderoby; ale cokolwiek z niej zobaczył François, począwszy od brylantów gorsu, a skończywszy na zegarku, wszystko to wywoływało na jego usta powtarzający się okrzyk:

— Mój biedny, nieszczęśliwy pan!

Na podstawie tego stwierdzono tożsamość zwłok. Lecz mimo tego prokurator nie pozwolił ich jeszcze pochować.

Barona zawiadomiono bezwłocznie o tem, co zaszło.

Gdy urzędnik policyjny zgłosił się u barona, miał właśnie pożegnać się z nim jakiś jegomość. Był to zapewne członek jakiegoś arystokratycznego rodu, bo całe jego zachowanie wskazywało na to. Przybył właśnie dla złożenia baronowi kondolencyi.

Skoro usłyszał anons służącego, chciał się natychmiast oddalić, lecz baron poprosił go, aby został, bo z pewnością zainteresują go nowe wiadomości prokuratora.

Markiz de Lerma, czterdziestoletni południowiec, skłonił się w milczeniu i cofnął się, gdy urzędnik policyjny przekroczył drzwi salonu.

— Cóż mi pan nowego przynosisz od pana prokuratora? — spytał baron, który od czterdziestu ośmiu godzin nie mógł przyjść do siebie.

Urzędnik oznajmił, że sługa księcia z całą pewnością poznał w zamordowanym trupie swego pana i że przez to identyczność nie ulega już kwestyi. Nadto pozostawił prokurator baronowi do woli, jeszcze raz się naocznie przekonać, na co on się natychmiast zgodził.

Markiz Lerma nie wtrącił się dotąd ani słówkiem do rozmowy, lecz teraz podszedł i rzekł:

— Jeżeli pan, panie baronie, pozwoli, to pojadę z panem do morgi! Miałem przed dwoma laty sposobność poznać w jednym z paryskich salonów księcia i mogę się zdać na moje pewne oko.

Baron zgodził się na to natychmiast. W towarzystwie zatem urzędnika udali się bezwłocznie do morgi. Podczas gdy baron, nieco zgarbiony, wszedł tam, gdzie leżał, położony na lodzie trup, markiz postępował z pewnego rodzaju ociąganiem. Zdawało się, że całe otoczenie porusza go do żywego. Bladość pokryła jego policzki, a ciemne oczy ślizgały się trwożliwie po kamiennej posadzce morgi. Wtem stanęli w przybytku umarłych. Baron oparł się ręką o stołek, bo groziło mu omdlenie.

Nagle zapłonęła lampa elektryczna i równocześnie z głuchym krzykiem cofnął się baron. Z wyciągniętemi przed siebie rękoma, powtarzał raz po raz:

— Tak, to książę; niema najmniejszej wątpliwości! Chociaż nie mogę rozpoznać twarzy, to ta ręka, z połyskującymi na niej, dobrze mi znanymi pierścieniami, ten łańcuszek, a nawet te ordery, wszystko to u niego widziałem kilka godzin przed zniknięciem! Muszę stąd wyjść, gdyż słabo mi się robi!

Urzędnik policyjny podał mu ramię i wyprowadził go z budynku.

Markiz Lerma stał wciąż jeszcze, jak skamieniały przy trupie. Wpił się formalnie oczyma w zeszpecone rysy zmarłego, a usta drgały mu osobliwie pod czarną brodą. Nagle wzdrygnął się gwałtownie.

Czy się dotknął ktoś gwałtownie jego ręki? Odwrócił głowę i gniewnym wzrokiem uderzył w twarz skromnie ubranego mężczyznę, który cichutko wsunął się do morgi.

— Proszę mi darować — wyjąkał. — Przysłano mnie tutaj, bo i ja znałem zaginionego księcia, ponieważ należałem do jego służby.

Markiz odwrócił się, niemile dotknięty.

Cóż mógł go obchodzić dawny sługa? Chciał szybko opuścić halę, lecz jakieś niewytłómaczone uczucie kazało mu się jeszcze raz obrócić. Lecz tym razem wzrok nieznajomego wydał mu się całkiem innym. Jak się ten człowiek w niego wpatrywał? Czy to może nie przebrany policyant?

Markiz wytrzymał wzrok rzekomego sługi, następnie wzruszył pogardliwie ramionami i wyszedł.

Niezadługo potem odjechał powóz, unosząc go razem z baronem.

Markiz miał w istocie nie mało trudu, uspokoić na nowo wzruszonego barona. Gdy go wreszcie żegnał, rzekł z błyskiem w swych czarnych oczach:

— Czybym nie mógł dowiedzieć się jutro przed południem o stanie biednej baronówny? Pan wie, panie baronie, jakie zamiary niegdyś żywiłem. Biedny książę mnie uprzedził i ja musiałem mu odstąpić takiego szczęścia, jakiem jest posiadanie Leontyny! Mimo tego mogę tylko z głęboką tęsknotą wspominać dni moich nadziei.

Baron zdawał się być głuchy na te słowa. Kiwnął tylko, zgadzając się i wszedł milcząc do pałacu.

Z bramy morgi wyszedł wkrótce „szklane oczko“ i patrząc za oddalającym się powozem, mówił:

— Nie wypuszczę tego Lermy z oka. To fizyognomia złoczyńcy; mnie nie omami jego wspaniały wygląd.

IV.

„Szklane oczko“ poprosił swego szefa, aby mógł na własną i sam na sam przeszukać wnętrze pałacu zamordowanego księcia; a chociaż to już raz zrobił prokurator, to jednak ten nie sprzeciwił się życzeniu Bernarda. Pozwalał on wogóle zawsze w takich wypadkach doświadczonym detektywom działać na własną rękę; a jeżeli kto, to tylko „Szklane oczko“ mógł rzucić światło na to tajemnicze morderstwo. Był o tem zarówno przekonany prokurator, jak i szef policyi.

Trzeciego dnia po zniknięciu księcia, Bernard w liberyi, ciągnął za rączkę dzwonka w willi książęcej.

Po pewnym czasie ukazał się François i zapytał, czegoby sobie życzył.

Bernard rozglądnął się ostrożnie w ulicy, oświeconej kilku latarniami, a upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, wyrzekł kilka półgłośnych słów do starego sługi.

Franciszek cofnął się przerażony, otworzył jednak bramę i wpuścił detektywa.

Zdawało się, że przybycie tajnego policyanta wprawiło starego sługę w zamieszanie.

W willi pokazał Bernard staremu wiarygodne upoważnienie szefa policyi i polecenie prokuratora.

— Jeśli pan chcesz, to możesz iść spać – rzekł do starego. — Co do mnie, to zamknę się prawdopodobnie na całą noc w prywatnem mieszkaniu księcia, by tam absolutnie sam przedsięwziąć dokładne poszukiwania. Proszę się o to nie troszczyć, co robię, lub kiedy się oddalę. Proszę więc o klucze.

Franciszka zadziwiło niepomiernie takie postępowanie. Nie mógł jednak sprzeciwić się.

Detektyw kazał sobie wręczyć potrzebne klucze, wypytał krótko, gdzie leżą pokoje, zajmowane przez księcia i oddalił się, nie odezwawszy się ani słowem do starego.

Franciszek potrząsł siwą głową i wszedł do swej izdebki. Oddalił on nowonajętą służbę i tylko stangret, ten sam, który zachorował w owej nieszczęsnej godzinie, znajdował się jeszcze w pałacu, a mianowicie w oficynie. Było mu już o wiele lepiej i zdanie lekarza, że John Franklin musiał mu coś wrzucić do jedzenia, z czego tenże dostał silnych kurczy, zdawało się potwierdzać.

Tymczasem stary stangret przyszedł nieco do siebie. Franciszek byłby chętnie poszedł do niego, lecz detektyw nakazał mu pozostać w domu i nikomu nie mówić o swej bytności.

W przedpokoju książęcych komnat wyciągnął „Szklane oczko“ z kieszeni małą latarkę i zaświecił ją. Światło, z niej padające, wystarczało mu zupełnie do jego poszukiwań, bo było bardzo silne, a zresztą mógł w razie potrzeby użyć światła elektrycznego; tymczasem obchodził się swoją latarką.

Zamknąwszy starannie drzwi za sobą, rozglądał się uważnie po pierwszym pokoju. Przy tego rodzaju poszukiwaniach okazywał Bernard szczególną bystrość. To też nie zabawił tutaj długo i przeszedł do komnaty sypialnej księcia

Drzwi do niej były zapieczętowane, lecz Bernard otrzymał od prokuratora upoważnienie do ostrożnego jej zdjęcia i w kilka chwil przeszukiwał ze swoją latarnią kąty wspaniale urządzonej komnaty. Wiedział on o tem, że każdy dywan starannie przeszukano, szukając owego biletu. Jednak mimo tego rozpoczął poszukiwania na swoją rękę i nie pominął przy tem nawet najdrobniejszego fałdu. W obliczu jego było coś lisiego, a oczy zdawały się być jednocześnie na kilku miejscach. Lecz mimo wszelkich tych poszukiwań nie znalazł nic, coby przedstawiało jakąś wartość dla niego. Trzymając w ręku latarkę, położył się teraz na posadzce i wczołgał pod łóżko, aby i tam przeglądnąć każdy kącik.

Lecz nic i nic!

Wtedy podniósł się bez słowa i wyszedł z sypialni. Czapkę służącego wsadził do kieszeni, aby mu nie przeszkadzała. W kieszeni spodni spoczywał ostro naładowany rewolwer, który miał przeciw możliwym wypadkom, bo Bernard doświadczył juz nie jednego w swoim zawodzie.

Detektyw przeszedł teraz do salonu księcia, nie zapieczętowanego przez prokuratora. Tutaj także zajęło mu poszukiwanie kawał czasu i mimo tego pozostało ono bez skutku. Pozostała wreszcie do przeglądnienia pracownia księcia.

Bernard nie złościł się bynajmniej tem, że jego dotychczasowa praca nie przyniosła żadnych rezultatów, bo wiedział, że tylko wytrwała, ciągła praca prowadzi do celu. Zdjąwszy przeto pieczęć, umieszczoną na drzwiach pracowni, skręcił na chwilę latarnie i słuchał przez kilka minut, czy przypadkiem nie usłyszy jakiego szmeru. Lecz nie usłyszał nic. Ostrożnie wsunął tedy klucz w zamek i otworzył. W ciemności wszedł do obszernej komnaty książęcej i zamknął starannie drzwi za sobą. Noc nie była zupełnie ciemna, koło północy powinien zejść, według obliczeń detektywa, księżyc, a ponieważ ostatnie dni padał śnieg, więc powinno być dość jasno.

Posłuchawszy jeszcze chwilę, zapalił napowrót latarkę. Teraz zobaczył, że pokój miał trzy okna i oszklone drzwi, prowadzące prawdopodobnie na balkon, lub schody ogrodowe, bo pokój leżał na wysokim parterze. Nad oknami i drzwiami wisiały ciężkie, ciemne, aksamitne firanki, zupełnie spuszczone.

Detektyw zamknął na nowo pokrywę latarki i zbliżył się do drzwi, których położenie sobie zapamiętał. Nadzwyczaj ostrożnie rozsunął ciężki aksamit i patrzył na pola. Jego przypuszczenie nie zawiodło go, bo przed drzwiami znajdował się balkon, połączony z parkiem żelaznymi schodami.

Szeroka, okryta śniegiem płaszczyzna, rozciągała się przed jego oczyma. Księżyc właśnie zeszedł i park, na którego drzewach zwisały śniegiem pokryte gałęzie, był oświecony jego łagodnem światłem. Żaden głos nie zalatywał z zewnątrz; park był w tak późnej porze całkiem pusty.

„Szklane oczko“ usiłował otworzyć dzwi, lecz znalazł je zamknięte, a ponieważ się tego nie spodziewał, nie miał też klucza. Oglądnął balkon, schody i najbliższe otoczenie, ściągnął napowrót firanki i zaświecił latarnię. Spodziewał się, że żadne ludzkie oko nie będzie go śledziło podczas poszukiwań, chociaż było można bardzo łatwo niepostrzeżenie dostać się z parku na balkon i przez małą szparę zaglądnąć do pokoju.

Lecz któż mógł się poważyć na to w tak niezwykłej porze i na co?

Detektyw postawił latarkę na krawędzi jednej z kolumn w ten sposób, że promienie jej padały na biórko i bez wahania pootwierał pojedyncze szufladki w ten sam sposób, w jaki to uczynił prokurator; przeglądał następnie starannie każdy kawałek papieru. Wyjął z kieszeni książkę i zapisy od czasu do czasu krótkie uwagi. Po przeglądnięciu kładł napowrót wszystko na swoje miejsce. Czego się spodziewał, tego nie znalazł; żadnego wyjaśnienia, żadnego znaku, ani wskazówki nawet, gdzieby szukać tajemniczych morderców!

„Szklane oczko“ cofnął się od biurka i raz pierwszy przebiegł wyraz niezadowolenia po jego twarzy. Następnie małe jego oczka zaświeciły dziwnie. Po raz drugi zabrał się do przeglądania wielkiego. staroświeckiego biurka. Tego rodzaju meble posiadają zawsze tajemne skrytki i ta okoliczność, że Bernard dotąd żadnej nie znalazł, naprowadzała go na to, że jest ona bardzo dobrze ukrytą. Lecz człowiek, tak doświadczony w tym kierunku, jak Bernard, nie dał się tak łatwo zniechęcić.

Po dziesięciu minutach poszukiwania wydał on lekki okrzyk. Znalazł bowiem sprężynę, która musiała otworzyć szufladkę, umieszczoną w tylnej ścianie biurka. Drugie usiłowanie i sprężyna opadła, a Bernard zobaczył przed sobą plik papierów.

W tej samej chwili odwrócił głowę i spoglądał ku zapuszczonej na drzwiach firance.

Czyż nie usłyszał tam szmeru? Może się łudził, bo szmer ten mógł pochodzić z samego biurka.

Mimo tego zgasił Bernard natychmiast światło i jednym skokiem znalazł się przy drzwiach, również szybko rozsunął firankę i zapuścił wzrok w park. Nie zobaczył jednak nikogo i wzruszywszy ramionami, podszedł napowrót do biurka. Zapalił światło i wyciągnął ostrożnie papiery z tajemniczej skrytki. Były tam dwa stare, częścią pożółkłe dokumenty familijne, a obok nich leżał te-



Prokurator z największą flegmą oglądał zwłoki; dla niego przedstawiały one teraz ciekawy przedmiot.

stament księcia, na który Bernard zwrócił bardzo mało uwagi. Lecz znalazł jeszcze jeden papier, który był dla niego ważniejszy od tego wszystkiego. Z tajemniczym uśmiechem, kiwnąwszy kilkakrotnie głową, zabrał się do przeczytania go.

Przed nim bowiem leżał akt ślubny księcia de Bligny.

O tem dokumencie nie wiedział z pewnością ani pan de Brepont, ani jego córka.

Detektyw czytał półgłosem:

„W maju, roku 1901 -- Maurycy de Lanterre — poślubił Gizę Cornary, tancerkę opery paryskiej — Nizza“.

„Szklane oczko“ pogładził prawie z pieszczotą jeszcze dość świeży papier, na którym błyszczały herby Francyi i chciał właśnie go złożyć, gdy huknął strzał. Wystrzelono tuż pod drzwiami, a kula, rozbiwszy szybę, przeleciała koło ucha detektywa i trafiła w ścianę.

— Hola! — krzyknął detektyw, podskoczywszy w górę.

Jednym skokiem dopadł drzwi i silnym kopnięciem wysadził je z zawias. Oddarł przy tem firankę i spotkał się oko w oko z trupio-bladą twarzą zaginionego księcia de Bligny.

Bernarda to tak zdumiało, że cofnął się, przetarł oczy, bo nie wiedział, czy śni, czy jest na jawie. Leżące na ziemi kawałki szkła i przedziurawiony mur, wróciły mu szybko przytomność. Przedewszystkiem należało ująć księcia.

W tej chwili przypomniał sobie Bernard o dokumencie, który leżał na stole, pochwycił go szybko, schował do kieszeni, następnie wypadł do parku. Na białej płaszczyźnie śnieżnej, błyszczącej w promieniach księżyca, odbijały ostro ślady stóp.

Niespodziewany gość, na widok którego niedawno temu „Szklane oczko“ skamieniał, uciekał i znikł właśnie za krzakami. Detektyw wyciągnął w pogoni z kieszeni rewolwer i był zdecydowany, wystrzałem zmusić uciekającego do zatrzymania się.

Lecz Bernard nie mógł się zoryentować w parku. Nie był on tutaj nigdy i już po kilku minutach musiał przyznać, że książę mu się wymknął. Był on jednak nadzwyczaj uparty i podobnie, jak rasowy pies, gdy zgubi ślad, biegał po pokrytym śniegiem parku. Trzask gałęzi wskazał mu nagle kierunek, w którym uciekał ten, którego rysy były wiernem odbiciem rysów księcia.

Nagle stanął detektyw przed murem parku. Wązka żelazna furtka zamknęła się właśnie, skrzypiąc głośno na zawiasach i w tej chwili strzelił detektyw z rewolweru. Poza bramką, która prowadziła na ulicę, spostrzegł cień pojedyńczej postaci. Czy trafił, czy nie, nie mógł teraz osądzić. Furtka była zamknięta i oparła się silnym pchnięciom Bernarda. Musiał on przejść przez mur. Dopomogło mu do tego drzewo i właśnie w tej chwili, kiedy znajdował się na wysokości muru, przejechał w ostrym tempie zamknięty powóz i zniknął na rogu ulicy. Teraz przekonał się detektyw, że dalszy pościg był niemożliwy, tem bardziej, że nie miał pod ręką powozu.

Spuścił się przeto z muru, nacisnął czapkę na głowę i puścił się ku miastu, tymczasowo bardzo zadowolony z odkrycia, które zrobił.

Jedno tylko było dla niego zupełną zagadką: Co miał ten markiz de Lerma wspólnego z tą zbrodnią, bo była ona niezaprzeczenie, chociażby książę był przy życiu.

Bernard miał następnego dnia z prokuratorem tajną rozmowę, której punkt środkowy tworzyło dziwne ukazanie się księcia de Bligny. Zgodzono się na to, że w ostatnim wypadku należy zachować najgłębsze milczenie.

Prokurator jeszcze teraz wzbraniał się wydać trupa. pozostającego w mordze, chociaż zarówno pan de Brepont, jak i stary sługa, prosili o wspaniały pogrzeb.

Prokurator odmawiał tym prośbom bez żadnego umotywowania.

„Szklane oczko“ studyował teraz dokładnie listy meldunkowe hoteli paryskich, chociaż ta praca była dość uciążliwa. Długo nie mógł znaleźć najmniejszego punktu oparcia. Wtedy zażądał przedłożenia sobie t. zw. czarnych list, które prowadził jeden z karnych oddziałów sądu paryskiego. Rozchodziło się tutaj o osoby, mieszkające w rozmaitych hotelach, o których policya nie wiedziała, skąd czerpią środki na opędzenie wydatków. Do pilnowania tych ludzi, którzy nosili często arystokratyczne nazwiska, byli wyznaczeni najbieglejsi urzędnicy.

Bernard znalazł tutaj swe pierwsze powodzenie i udał się do kierownika tego biura. Ten zgodził się natychmiast na przeglądnięcie list przez detektywa, który siedział nad niemi całemi godzinami. Mogłeś tam znaleźć książąt, hrabiów, baronów ze wszystkich krajów. Tylko w rzadkich wypadkach występowała otwarcie przeciw nim policya. Wystarczało jej tylko to, że mogła ich nadzorować. Opuścił z nich który Paryż, żeby się nic nie wydarzyło, to przekreślano poprostu jego nazwisko i niszczono listę.

Oczy Bernarda padły po długiem szukaniu na nazwisko, które go zainteresowało.

„Szklane oko“ był specyalistą w badaniu i w poznawaniu ludzi po ich nazwiskach. Nazwisko, które jemu wydawało się podejrzanem, musiało być własnością człowieka, o którym nic dobrego powiedzieć nie było można.

Szczególnie pilnie zajmował się „szklane oko“ badaniem nazwisk osób, które tylko na pewien czas przybyły do Paryża i stanęły w jednym z tamtejszych hoteli. To było najlepsze pole popisów pana Bernarda. Jak wspomnieliśmy, uderzyło go jedno z tych nazwisk. (C. d. n.).

75 rocznica niepodległości Belgii.

Belgia, obchodząca teraz uroczyście 75 rocznicę swej niepodległości, jest tworem rewolucyi lipcowej. Kongres wiedeński, jak wiadomo, utworzył z dawnych burgundzkich, brabanckich i flandryjskich dzierżaw Habsburgów, jednolite państwo Niderlandów, zostające pod berłem Wilhelma z Oranii. Nowe to państwo otrzymało konstytucyę, parlament, do którego posłów wybierała w połowie Belgia, w połowie Holandya, otrzymało szerokie swobody obywatelskie i dobrego gospodarza w osobie nowego panującego. Kraj począł się rozwijać, przemysł się podniósł, oświata się szerzyła.

A jednak nie dogodzono obu stronom, bo były dwa różne narody, dwie różne religie, dwa języki. W Holandyi była rasa germańska, język holenderski, religia protestancka; w Belgii rasa przeważnie romańska, język francuski, religia katolicka. Starcia były więc nieuniknione. Taki stan nie mógł trwać długo.

Minęło lat 16 od kongresu wiedeńskiego. Wybuchła rewolucya lipcowa we Francyi, 5 sierpnia abdykował w Paryżu Karol X. na rzecz Ludwika Orleańskiego, 24 sierpnia wybuchły rozruchy w Brukseli. Przyczyną rozruchów brukselskich było przedstawienie „Niemej z Portici“, sztuki, osnutej na tle powstania rybaka Masaniello w Neapolu, w roku 1647. Po miastach belgijskich potworzyły się gwardye obywatelskie, chorągiew orańską zastąpiono sztandarem brabanckim. We wrześniu wyparto wreszcie wojska holenderskie i ustanowiono rząd narodowy. 10 listopada zaś zebrał się w Brukseli kongres narodowy i ogłosił niepodległość Belgii. Właśnie w tym czasie obradowała w Londynie konferencya nad załatwieniem sprawy greckiej. Połączono z nią i belgijską, rozejrzano się za królem i znaleziono go w domu Sachsen-Coburg-Gotha. Jeden z książąt tego domu był zięciem króla angielskiego i szwagrem Ludwika Filipa. Tego wybrano jako króla i przyszłego dynastę Belgów. Wstąpił on na tron jako Leopold I. dnia 4 czerwca 1830. Synem jego jest panujący obecnie Leopold II.



Muzyka Kółka fabrycznego w Sanoku: Członkowie orkiestry.



75-rocznica niepodległości Belgii: Uroczystość przed ratuszem w Brukseli.

Obecny król panuje już 55 lat. Jest on ojcem dwóch znanych ze skandalów córek: ks. Luizy koburskiej i Stefanii, dzisiejszej hrabiny Lonyai. Jakikolwiek on jest, jednak w ciągu jego panowania kraj zrobił olbrzymie postępy.



75-rocznica niepodległości Belgii: Leopold II. król belgijski.

Podając tę krótką historyę powstania niepodległego królestwa Belgii, zamieszczamy obok portret obecnego króla belgijskiego Leopolda II., oraz rycinę, przedstawiającą uroczysty obchód w rocznicę niepodległości w Brukseli.

Muzyka kółka fabrycznego w Sanoku.

Czem jest muzyka dla nas, nad tem niema potrzeby rozwodzić się długo. W chwilach wolnych po pracy jest ona miłą i sympatyczną rozrywką, uprzyjemniającą nam godziny spoczynku i dostarczającą nowych sił do uciążliwej nieraz pracy. Przy tem wszystkiem wpływa uszlachetniająco na nasz umysł; jest ona tym balsamem leczącym moralne troski i umartwienia, a odrywającym nasz umysł choćby na chwilę tylko od tego padołu płaczu — wtedy niesie nas w cudną krainę marzeń, w niedostępne w innych chwilach zaświaty.

Zalety i korzyści muzyki, niepospolite i niepośledne znane są powszechnie, tej okoliczności



Echa napadu na komisarza Trzeciaka: Przesłuchanie Golonkowej.

też mamy do zawdzięczenia, że muzyka posiada obok ludzi, którzy oddają się muzyce zawodowo, całą duszą, także muzyków-dyletantów.

W niniejszym numerze zamieszczamy zbiorową grupę amatorów-muzykantów fabrycznego kółka w Sanoku. Stowarzyszenie urzędników i robotników fabryki wagonów i maszyn w Sanoku posiada względnie dobrą organizacyę, a założone przed paru laty bo w r. 1898 rozwinęło się do tego stopnia, że liczy w swym składzie muzycznym około 30 członków ochotników.

Dyrygentem muzyki mianowano inżyniera tamtejszej fabryki p. Jasińskiego. P. Jerzy Jasiński który obecnie zmuszony jest opuścić to stanowisko, dokładał zawsze wszelkich starań aby na tak ważnem stanowisku przysporzyć jak najwięcej korzyści kapeli. Z niestrudzoną energią pracował nad muzycznem wykształceniem każdego z członków a praca jego coraz widoczniejsze wydaje owoce. Kapela Sanocka bierze udział we wszystkich narodowych uroczystościach, oddaje też członkom ostatnią przysługę odprowadzając ich zwłoki do grobu.

Straszny wypadek w kościele.

Wadliwość budowy wielkich publicznych gmachów, była już niejednokrotnie powodem smutnych wypadków, które pociągnęły za sobą ludzkie życie w ofierze. Pożary, zawalenia się murów są dziś na porządku dziennym. Aczkolwiek ustawa budowlana daje ścisłe wskazówki co do zachowywania przepisów o prowadzeniu budowy i obciąża niedbałych budowniczych wielką karną i cywilną odpowiedzialnością — to jednak przeciw złej woli lub nieudolności ciężko jest walczyć. W rezultacie mnożą się z dnia na dzień katastrofy, lekceważone bywają najprymitywniejsze zasady techniki, i życie ludzkie systematycznie bywa wystawiane na najpoważniejsze niebezpieczeństwa.

Wprost zgrozą przejmuje ostatni wypadek, który wydarzył się w miasteczku Ferno we Włoszech.

We Ferno jest przytułek dla ubogich dziewcząt, a w przytułku tym znajduje się kaplica. Wychowanki obowiązane są co niedzielę wysłuchać nabożeństwa. W ubiegłą niedzielę, jak zwyczajnie zgromadziły się one w liczbie 69 dziewcząt i pod przewodnictwem zakonnic brały udział w nabożeństwie. Pogrążone w kontemplacyi przeraził nagły huk, zanim jednak spostrzedz się mogły, co się stało — padły niewinnemi ofiarami.

Właśnie ksiądz stanął przed ołtarzem, gdy z hukiem strasznym zawaliła się podłoga kaplicy, a ołtarz, stojący przed nim kapłan, zakonnice i wychowanki runęli śród szczątków podłogi do sali parterowej, nad którą znajdowała sie kaplica.

Bezmierny ciężar sklepienia i kamiennych filarów przebił podłogę na parterze i cała masa gruzów i skłębionych ciał wpadła do piwnicy. Straszna detonacya zaalarmowała całe miasteczko, którego mieszkańcy sądzili w pierwszej chwili, że jest tu do czynienia z zamachem dynamitowym tem więcej, że przez otwarte okna buchnęła na ulicę kurzawa kurzu i pyłu wapiennego.

Z głębin piwnicy dobywały się krzyki i jęki nieludzkie, zabrano się więc natychmiast do ratunku, pomimo że ściany groziły runięciem i niebawem dobyto z gruzów 16 trupów oraz 32 osoby ciężko poranione.

Wypadek ten jest jeszcze jedną — daj Boże! — ostatnią przestrogą, by budowniczowie i przedsiębiorcy nie lekceważyli przepisów ustawy, która w obronę bierze życie człowieka.

Echa napadu na komisarza Trzeciaka.

Epilog znanego czytelnikom napadu na komisarza policyi p. Antoniego Trzeciaka, rozegrał się parę dni temu przed tutejszym sądem krajowym karnym. Napad na komisarza wykazał jak najjaskrawiej, że bezpieczeństwo publiczne w Krakowie pozostawia wciąż jeszcze bardzo wiele do życzenia, że dzięki pojedyńczym zbrodniarzom spokojni mieszkańcy nie są pewni dnia ani godziny.

Po stwierdzeniu zbrodni oskarżonych, obronie dr. Moskwy i Laufbahna, trybunał udał się na naradę celem wydania wyroku.

Z wyjątkiem trzech oskarżonych, którym zbrodni udowodnić nie zdołano, skazano wszystkich oskarżonych na następujące kary:

Franciszka Górę, Franc. Koronę i Rulikowskiego na 1 rok ciężkiego więzienia.

Korek otrzymał 10 a Stanisław Pamuła 8 miesięcy, Kazimierza Dzieżwę skazano na 1 miesiąc Białogłowskiego na 14 dni.

Illustracya nasza podaje chwilę z rozprawy sądowej, gdy Golonkowa, główna przyczyna napadu, składa zeznanie, obciążające Dzierwę i Białogłowskiego.



Straszny wypadek w kościele: Zawalenie się podłogi w kościele we Ferno,



(Doświadczenia doktorki Thompson nad mężczyznami i kobietami. — Rozmaite cechy obu płci. — Wygrana w sumie 1 miliona i pani Hofer. — Upały. — Do czego służy Wisła?)

Już od dawna toczy się spór o to, czy kobieta pod względem duchowych i fizycznych zalet jest równa mężczyźnie, czy też mu ustępuje. Właściwie powinniśmy pytać o to, czy kobieta jest taka samą jak mężczyzna, czy też odmienną istotą, ale ponieważ na to pytanie istnieje tylko jedna odpowiedź, że kobieta jest odmienną — więc nawet ludzie, mający pretensyę do uczoności, koniecznie mówią o fizycznej i mysłowej równości lub nierówności kobiet wobec mężczyzn.

W Ameryce północnej znana profesorka psychologii na uniwersytecie w Chicago, doktorka Helena Thompson na tle tem czyni od dłuższego czasu doświadczenia, do których służą jej słuchacze i słuchaczki uniwersytetu. Pani Thompson wybrała do swoich doświadczeń 50 słuchaczów i słuchaczek, osoby normalne, silne i zdrowe. Przedmiotem pierwszych doświadczeń były fizyczne zalety i właściwości płci. I tak słuchacze i słuchaczki na dany znak musieli przy nieruchomych rękach pukać w takt palcami. Otóż przy tej sposobności okazało się, że mężczyźni mają wytrwalsze, a co dziwniejsze, zarazem lżejsze palce. Ale przy następnem zaraz doświadczeniu okazała się rzecz jeszcze dziwniejsza. Oto przy mięszaniu, rozdawaniu i sortowaniu kart wedle barwy, panie okazały wyższość! Nawet ci mężczyźni, którzy często grywali w karty, nie mogli nadążyć swoim koleżankom. Ból głowy sztucznie wywołany, znosili łatwiej mężczyźni, natomiast, trzymając ręce w gorącej wodzie, panie znosiły wyższe temperatury.

Zmysł smaku okazali słuchacze wyżej rozwinięty, niż ich koleżanki, a mianowicie łatwiej rozeznawali smak płynów silnie rozcieńczonych, natomiast zmysł powonienia był delikatniejszy u słuchaczek. Co do wzroku, to mężczyźni lepiej widzieli na znaczne odległości, natomiast panie lepiej rozróżniały odcienie barw.

Przejdźmy do właściwości umysłowych. Cały szereg doświadczeń, przeprowadzonych przez panią Thompson wykazały, że kobiety mają lepszą pamięć niż mężczyźni. A przy doświadczeniach tych chodziło nie tylko o mechaniczną pamięć, o przyswojenie sobie wyrazów bez związku, lecz także o pamięć wyższą na podstawie rozumu i tak zwanego kojarzenia się pojęć. Ten rezultat, jak niektórzy twierdzą, wcale nie jest zadziwiającym. Podobno aktorki o wiele szybciej uczą się swoich ról i dokładniej w pamięci je zachowują, niż aktorzy, co się często już po kilku próbach okazuje. Pani Thompson co do objawów woli, namiętności, rozmaitych porywów ducha i t. p. nie mogła czynić doświadczeń i musiała poprzestać na pytaniach ze swojej strony, a odpowiedziach ze strony słuchaczów i słuchaczek. Jakkolwiek nie wątpimy o prawdomówności ich, mimo to nie przywiązujemy wagi do tego rodzaju „doświadczeń“, pomijamy je. Ale to, co pani Thompson uzyskała drogą rzeczywistych doświadczeń, ma wartość materyału naukowego i zawiera zajmujące wyniki.

Pomówmy o innej kobiecie, którą przypadek uczynił bohaterką chwili. Dnia 31 lipca b. r. odbyło się w Paryżu ciągnienie loteryi, którą na swój dochód urządziło stowarzyszenie dziennikarzy francuskich. Główna wygrana wynosiła milion franków. Ponieważ losy tej loteryi rozeszły się po całej Francyi, wszędzie więc z niecierpliwością oczekiwano ciągnienia. Dnia 31 lipca o godzinie 8 wieczorem wiedziano, że główna wygrana padła na numer 2174, seryę 77. Nazajutrz pisma paryskie zamieściły telegram, że los ów znajduje się w rękach pani Hofer, dzierżawczyni kantyny w koszarach 23 pułku dragonów w Sedonie.

Jak przyjęła ta kobieta wspaniały dar natury? Czy śmiała się? Czy płakała? Czy może nawet zemdlała? Takie pytanie zadawano sobie po kawiarniach paryskich, a tymczasem cały rój reporterów ze stolicy pojechał do Sedanu, ażeby rzecz zbadać na miejscu. I okazało się, że pani Hofer nie śmiała się, ani nie płakała, ani wreszcie nie zemdlała, gdy dnia 1 sierpnia b. r. w południe przybył do niej dyrektor sedańskiej filii banku „Credit Lyonndis“ i w te odezwał się słowa:

— Pani! Dowiedziałem się właśnie, że główna wygrana loteryi dziennikarzy padła na los, mający numer 2174, seryę 77, a sprzedany przez naszą filię. Podobno pani posiada ten los, czy tak?

— Tak jest — odparła dzierżawczyni kantyny i wyciągnąwszy los z szuflady, pokazała go dyrektorowi.

Winszuję pani serdecznie — rzekł dyrektor.

— Nie mogę jeszcze przyjąć powinszowania — zauważyła pani Hofer z uśmiechem. — Mógł w liście wygranych zdarzyć się błąd drukarski.

Dyrektor zabrał dzierżawczynię kantyny do swojego biura i telefonicznie zapytał, czy rzeczywiście wygrana padła na wymieniony los. Odpowiedź i to pomyślną usłyszała z Paryża sama pani Hofer. Nie było wątpliwości — wygrała milion franków.

— Dziękuję teraz za gratulacyę — rzekła spokojnie do dyrektora i opuściła biuro.

Tymczasem o wygranej dowiedział się już cały Sedan i gdy pani Hofer pokazała się na ulicy, obstąpił ją zwarty tłum gratulantów. Podziękowała im z uśmiechem i poszła dalej, wstępując po drodze do sklepu, w którym kupiła sobie bluzkę za 15 franków. Przy tej sposobności powiedziała właścicielce sklepu o wygranej.

— Ach! pani, czy mogę pani ofiarować lepszą bluzkę? — zapytała zakłopotana właścicielka sklepu.

— Wystarcza dla mnie i taka bluzka — odparła pani Hofer.

Gdy wróciła do swojej kantyny, zastała tam już pana Emilla Berra, reportera paryskiego dziennika „Figaro“. Paryski dziennikarz był zachwycony panią Hofer, przystojną (a jakże!) wdową, która liczy 38 lat życia, a wygląda na 30.

— Co pani teraz pocznie jako milionerka? — zapytał reporter.

— Mam dosyć krewnych, będę im dopomagać. A zresztą dosyć jest na świecie biedaków. Będę o ile możności świadczyć im dobrodziejstwa — odpowiedziała pani Hofer.

— Będą panią nachodzić spekulanci, ażeby wyłudzić pieniądze.

— Na to jestem zbyt rozsądną. Spekulanci pójdą z kwitkiem — zauważyła pani Hofer — ale przedewszystkiem załatwić muszę sprawę kantyny; interes jest interesem.

Nagle roześmiała się głośno. Zjawił się jakiś fotograf z przyrządem błyskawicznym i „zrobiwszy zdjęcie“, zniknął szybko.

— To szósty już fotograf — rzekła pani Hofer Dzięki takiemu głupstwu, jak wygrany los, jestem sławną kobietą.

Pani Hofer użyje z pewnością dobrze swojego majątku. Nie zawrócił jej głowy magiczny milion. I nie myśl czytelniku, że to jest historya kanikularna, coś w rodzaju bajek o wężu morskim, lub olbrzymiej żabie w grocie Twardowskiego. Pani Hofer istnieje rzeczywiście i wygrała rzeczywisty milion. Ogłosił to francuski dziennik urzędowy.

Wspomniałem o kanikule. Rzeczywiście mamy upały, jak powiadają pobożni zresztą Krakowianie szatańskie. Jaką będziemy mieć temperaturę, gdy łaskawi czytelnicy przy czarnej kawie zabawiać się będą (tak sobie pochlebiam) moją kroniką, tego oczywiście przepowiedzieć nie mogę, ale to jedno wiem, że pisząc te wyrazy, pocę się jak mysz. Nie z powodu pracy, ale poprostu z upału. Dzienniki zapewniają wprawdzie, że większe jeszcze upały panują w niektórych okolicach Europy, zwłaszcza podobno na Gibraltarze i na... Krzemionkach, ale to marna dla mnie pociecha. Nie jestem wyznawcą przysłowia, które powiada, że miło jest mieć towarzyszów niedoli. Co mi z tego, że pocą się i sapią moi bliźni? Wszak przez to nie będzie mi wcale chłodniej.

Gdybyśmy przynajmniej mieli porządne łazienki na Wiśle! Ba — to marzenie nie rychło się spełni, Kraków posiada, jak się zdaje, Wisłę li tylko na to, a żeby rozmaici nastrojowo nastrojeni panowie, a zwłaszcza panie pisali o niej ogromnie nastrojowe powiestki. Może także Wisła służyć jako zbiornik dla kanałów, ale żeby na niej urządzić porządne i obszerne łazienki, to rzecz zanadto prozaiczna. Przemyśl, jak słyszałem posiada wygodne łazienki na Sanie, ale Przemyśl jest przecież miastem prowincyonalnem, a Kraków stolicą.

k. e.



BAJKA.

Napisał Maksym Gorki.

Miałem przyjaciela.

„Zgaś, Panie, duszę jego!“ Bo i pocóż płonąć ma ta dusza ognista tam u kręgów podbiegunowych, gdzie obecnie przebywać musi?

„Zgaś, Panie, duszę jego!“ Bo światłość jej nie rozjaśni mroku północnego, ani też od ognia jej nie stopnieją śniegi pustynne i nie rozproszą się dymy tęsknoty i samotności.

Miałem przyjaciela. Młody był jeszcze w chwili, gdy przyszła nań zaguba. Miał właśnie przyjechać do mnie w odwiedziny, ale że był to jeden z tych, którzy tylko prostemi drogami jeździć umieją, zajechał więc prostą drogą tam, gdzie obecnie przebywa i skąd już nigdy nie wróci

Przyjaciel mój miał matkę, sześćdziesięcioletnią staruszkę, która jedną nogą już stała w grobie.

Jednego dnia otrzymałem wiadomość o tem, co się z nim stało, i list od matki jego, donoszący mi, że syn jej jedzie do mnie w gościnę. Polecała mej opiece ciało i duszę jego; zapytywała, czy już przybył, jak się czuje, czy dobrze nam ze sobą.

Gdy przeczytałem list, stanęła mi przed oczyma staruszka owa, wątła, słaba. Widziałem jej łagodne, przygasłe źrenice, w których malowała się niezmierna miłość dla syna. Przypomniałem sobie, że myśl o nim i troska o jego szczęście stanowiła całą treść tego biednego gasnącego już życia.

I donieść jej prawdę?

...Bywa prawda, która jest człowiekowi potrzebna. Ta, co z duszy jego brud wszelki wyżera i płomieniem wstydu wypala z niej pospolitość i płaskość. Tej prawdzie wołam: Bądź pozdrowiona!

Ale bywa prawda druga, ta, która kamieniem ciężkim na głowę spada i łamie i zabija w nas chęć i możność życia. Ta — niechaj zginie!

Jeśli ja tej matce doniosę, że syn jej już na zawsze dla niej stracony, to w najlepszym razie zabije ją odrazu? Ale, jeżeli nie umrze? Jeżeli nie upadnie pod brzemieniem strasźliwej wieści, a tylko umrze w niej to, co stanowi istotę i treść życia, a ból jadowity i tęsknota nieuleczalna zatrują jej ostatnie dni życia?...

Przecież ona przez dwadzieścia ośm lat kosztem mnóstwa ofiar i trudów niezmiernych chroniła syna od wszelkiego złego. A dziś, przed samą śmiercią, ma być pozbawiona tej radosnej i dumnej pewności, że syn jej, w pełni sił i rozwoju, nie potrzebuje już niczyjej opieki i walczyć może sam i zwyciężać.

I jej, która święcie wierzy w jego tryumf, jak rzucić słowa: „Syn twój zwyciężony!“

O nie! Raczej — kłamać!

Więc, naśladując pismo przyjaciela, pisałem do staruszki listy, rozpoczynające się od słów: „Droga, kochana moja Mamo!“ Ona odpowiadała mi tkliwie, serdecznie, prosząc, abym się od różnych rzeczy wystrzegał; dowodziła, że powinienem ubierać się ciepło, wymowniej, aniżeli Luter bronił swych tez.

Ja znów, przemawiając do niej ustami jej syna, donosiłem, jak jestem zdrów i szczęśliwy, jak mi dobrze na świecie; opisywałem powodzenie swe w życiu i towarzystwie, poddawałem się za niego jej napomnieniom i radom, a ona, zachwycona, pisała znów do mnie:

„Drogi mój, jedyny chłopcze! Nigdy jeszcze nie byłeś ze mną tak otwarty, szczery i tkliwy, jak teraz w listach... Niech ci Bóg zapłaci za czystość serca twego, które opromienia mi ostatki życia“.

Więc ja, wytężając całe bogactwo wyobraźni, dobierałem wyrazów najtkliwszych, barw najpiękniejszych do odmalowania obrazów mego szczęścia. Pisałem do niej, jak miło żyć, mając tak dobrą, świętą, kochaną matkę. Ona odpowiadała, że błogo jest umierać, będąc matką tak dobrego, pięknego, szczęśliwego syna.

I umarła, wierząc w szczęście syna, w chwili, gdy on odpoczywał na etapie, w drodze na północ daleką...

Prawda, że ładna bajka? Szkoda tylko, że — zmyślona.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Żyjemy w czasach, obfitujących w nadzwyczajne wypadki. Jesteśmy świadkami zdarzeń, których doniosłości może nie odczuwamy, których może nie zdołamy należycie ocenić właśnie dlatego, że ich świadkami jesteśmy, ale których skutki będą mieć dla potomności olbrzymie znaczenie. Czasy bowiem dzisiejsze zajmą w historyi takie samo miejsce, jakie mają czasy wędrówki ludów, czasy reformacyi lub wielkiej rewolucyi. Historycy lat przyszłych będą od czasów dzisiejszych zaczynali nową epokę w dziejach świata, epokę którą dziśbyśmy już mogli nazwać „epoką rasy żółtej“. Na widownię dziejów wstąpił bowiem nowy żywioł, rasa żółta, ludy Wschodu, drzemiącego od wieków i zaskorupiałego, prześniedziałego w starożytności. Kiedy Europa przebywała najważniejsze kataklizmy dziejowe, kiedy ludy Europy emancypowały się, odradzały co jakiś czas, a kultura rozszerzała coraz szersze kręgi, Wschód spał. Mur chiński, odgradzający Azyę od Europy, stawał się coraz bardziej widoczny. Mocarstwa europejskie, korzystające z tego, robiły w Azyi, co chciały. Zaborczy niedźwiedź rosyjski coraz dalej wyciągał ciężkie swoje łapy i coraz dalej posuwały się granice Rosyi. Naraz, jak gdyby piorun z jasnego nieba, Wschód ruszył się, powstał groźny i jak olbrzym, co hartował długo swoje członki, stanął wyzywająco.

Japonia wypowiedziała Rosyi wojnę. Maleńki ludek wyspiarski, o którego sztuce wiedzieli w Europie artyści, szerszej publiczności znany jedynie z angielskich operetek, ludek, do dziś dnia pogański w przeważnej części, ale zato posiadający już europejską kulturę, rządzony konstytucyjnie, ludek, który w ostatnich trzydziestu latach zdołał sobie przyswoić to, nad czem w Europie pracowały wieki, wypowiedział wojnę Rosyi, która pod względem kultury stoi prawie na równi z Azyą, Rosyi, gdzie do dziśdnia niema konstytucyi, Rosyi, rządzonej autokratycznie, ciemnej, barbarzyńskiej.

I rozpoczęła się wojna, krwawa, okrutna, wojna na śmierć i życie, srożąca się z niepohamowaną siłą fatalizmu do dziśdnia. I stała się rzecz dziwna. Oto ten ludek mały począł coraz śmielej i skuteczniej wybijać kły rosyjskiemu niedźwiedziowi, okazał się o całe niebo wyższym od swego europejskiego przeciwnika. Ośmnaście miesięcy dobiega od czasu, kiedy pod Portem Artura japońskie armaty zagrały preludyum do straszliwego hymnu wojny, a Rosyanie do dziś dnia nie odnieśli ani jednego zwycięstwa. Ani jednego! Nad Portem Artura powiewa dziś sztandar wschodzącego słońca, orły rosyjskie zdarto z rządowych gmachów w Liaojanie i Mukdenie, który jest bramą do Mandżuryi, armia rosyjska, rozgromiona w 14-dniowej bitwie pod Mukdenem, pierzchła na północ, Japonia tryumfuje!



Z wojny ros.-jap.: Kurytarz w więzieniu sachalińskiem.

A z Japonią tryumfuje rasa żółta, która z śmiertelnych zapasów z rasą białą wyszła zwycięsko.

Tryumf ten, to fakt wielkiej, historycznej doniosłości. Dowiódł on, że w drodze ku postępowi, w drodze do cywilizacyi przybył ludzkości nowy czynnik, bardzo pożądany, bo silny, mający w sobie moc, czynnik, który dopiero wyszedł z pieluch i wstąpił na arenę dziejów z młodzieńczym zapałem i energią.

A zrobiła to tocząca się obecnie wojna. O skutkach jej, dzisiaj już widocznych, pomówimy na innem miejscu. Zaznaczamy jednak, że nie możemy tych skutków dzisiaj należycie ocenić, bo na wypadki dziejowe trzeba patrzeć przez pryzmat odległości, aby sobie z nich należycie zdać sprawę. Za lat 50 lub 60, może za sto, skutki tej wojny będą dopiero widocznie w całej pełni i wtedy dopiero należycie je potomność osądzi. Sądząc jednak z tego, co już dzisiaj zaobserwować się daje, zdaje się, że możemy być przekonani, że skutki tej wojny będą olbrzymie, choćby nawet Japonia przegrała, czego znów dzisiaj, patrząc na bieg wypadków, zgoła przypuszczać nie można. To też bez wahania wojnę tę możemy nazwać epokową.

Dotychczasowy przebieg wojny okazał aż nadto dowodnie, żeśmy się nie mylili, okazał jasno, że tylko ten naród zdolen jest ponieść na wojnę najcięższe ofiary, właśnie z fanatycznym entuzyazmem i zwyciężać, który ma podstawę do tego, żeby się starać o rozszerzenie granic i potęgi swojej ojczyzny.

A komuż w Rosyi o to chodziło? Jedynie caratowi i skorumpowanemu czynownictwu. Bo choćby cała Azya uległa władzy cara, Rosyanin pozostałby nadal tem, czem był: pozbawionym praw niewolnikiem, którego carat mógłby trzymać w ciaśniejszej jeszcze jak przedtem obroży, bo miałby większą potęgę i większe środki. Wielcy książęta otrzymywałyby w dwójnasób zwiększone apanaże, czynownicy zyskaliby większy teren do kradzieży. To byłby cały skutek rosyjskich zwycięstw.

A w Japonii?

Tam dla każdego obywatela wojna z Rosyą była wojną świętą, bo była wolną wolą konstytucyjnie rządzonego narodu. Tam każdy żołnierz wiedział, że idąc walczyć z Rosyą, idzie walczyć „za świętą sprawę“. Wobec takich warunków zwycięstwo Japonii, dla nas przynajmniej, było rzeczą zupełnie zrozumiałą i jasną. Bo porównując



Z wojny ros.-jap.: Kontrolowanie trupów poległych żołnierzy rosyjskich.

warunki obu stron, Rosyi i Japonii, cóż zobaczymy?

Po stronie rosyjskiej: łotrowstwa na każdym kroku i każdego rodzaju, od niedbalstwa począwszy, do nikczemnej lekkomyślności. Po stronie japońskiej: aparat administracyjny, funkcyonujący z matematyczną ścisłością i sumiennością, poświęcenie, od prostego wypełniania obowiązku począwszy, do fanatycznego altruizmu. U przeciwnika: niepewność, brutalność, lekceważenie u starszyzny, niechęć, obawę, rezygnacyę u żołnierzy. U Japończyków: najdokładniejsze wiadomości, ludzkość i oddanie się sprawie ze strony przełożonych, odwagę, zapał i poświęcenie ze strony wojska. Po stronie rosyjskiej: niepopularną, znienawidzoną, przeklętą wojnę, podjętą przez znienawidzony rząd; po stronie japońskiej: wojnę narodową w całem tego słowa znaczeniu, wojnę, będącą wyrazem wolnej woli ludu. U Rosyan: wojnę jako przymus; u Japończyków: *dulce et decorum est pro patria mori.*

Te ośmnaście miesięcy, jakie upłynęły od wybuchu wojny, to jeden wielki tryumf Japończyków, to tryumfalny pochód kultury, gniotącej po drodze barbarzyństwo i ciemnotę. Od Portu Artura aż do Tielinu, przez skały Kwantungu i strome wąwozy Korei, ściele się krwawy szlak zwycięskiego pochodu synów „krainy wschodzącego słońca“.



Z wojny ros.-jap.: Zesłańcy rosyjscy na Sachalinie.

Wojna rosyjsko-japońska ma specyalną cechę: Oto Azyaci walczą za europejską kulturę, a Europejczycy za azyatycką ciemnotę. I zwyciężają Azyaci.

A te zwycięstwa, to zwycięstwa kultury nad ciemnotą i barbarzyństwem. Tem też tłómaczy się fakt, że cały świat cywilizowany z tak niekłamaną sympatyą przyjmuje wiadomości o klęskach Rosyi. Bo te klęski to dowód, że cywilizacya musi zwyciężyć barbaryzm, skazany przez dzieje na zagładę.

Nareszcie rokowania pokojowe, o których tyle się słyszało, tyle mówiono i pisano, doszły do skutku.

W chwili, kiedy to piszemy, rokowania jeszcze się nie rozpoczęły. Pomówimy tedy o nich, patrząc na opinię dzienników angielskich i rosyjskich.

Willa, w której prezydent Roosevelt przepędza w Oysterbai letnie miesiące, jest skromnym, bezpretensyonalnym budynkiem, zapełnionym po brzegi urzędnikami Stanów, przybywającymi w ślad za szefem rządu do wioski nadmorskiej, aby stamtąd kierować administracyjną maszyną państwa.

W Waszyngtonie pobyt od maja do października jest wprost nieznośny ze względu na straszliwe upały; zaczynają się one raptownie bez żadnych przejść po dotkliwych zimnach i ustępują dopiero pod wpływem przejmującego jesiennego wiatru i wilgotnej słoty. Stolica Stanów jest przez pięć miesięcy jakby wymarła.

Także i dyplomaci europejscy uciekają skwapliwie już w maju na chłodniejsze letniska, o ile można jak najbliżej Oysterbai. Siedzibą francuskiego ambasadora jest wtedy Newport, niemieckiego Lenox w Massachusetts.

Kiedy się rozeszła wiadomość, że rokowania pokojowe Rosyi i Japonii prowadzone być mają w Ameryce, popłoch ogarnął ocierających pot z czoła amerykańskich mężów stanu. Uspokoili się dopiero wówczas, gdy rozeszła się wieść, że dzięki pomysłowi sekretarza stanu dla marynarki, miejscem obrad pełnomocników miał stać się Portsmouth, mała mieścina na granicy stanów New-hampshire i Maine; w maju nikt z Portsmoutczyków jeszcze nie śnił o zaszczycie historycznym, jaki jego miejsce rodzinne miało podźwignąć.

Jednym z licznych kłopotów otoczenia prezydenta Roosevelta było pytanie, jak przyjąć i gdzie urządzić spotkanie Wittego z baronem Komurą, zanim jeszcze dynamit nie rozsadzi skał, zamykających dostęp do wysepki i stojącego na niej nowego, zaledwie wykończonego, z pospiechem meblowanego wspaniale, gmachu arsenału marynarki. W oysterbajskiej willi stanowczo było na to za ciasno.

Ostatecznie tedy w dniu 5. sierpnia Roosevelt przyjął Rosyan i Japończyków nie u siebie, ale na jachcie „Mayflower“ odpowiednio przysposobionym i potem oddanym do dyspozycyi gości wraz z innym statkiem depeszowym marynarki związkowej „Sylphem“ urządzonym także z wprost książęcym przepychem. Na obu tych statkach mieszkać będą przez cały czas rokowań dyplomaci państw wojujących, o ile przysposobione dla nich mieszkania w hotelach portsmouckich wydadzą im się mniej wygodne.



Z wojny ros.-jap.: Generał Liapunow, rosyjski gubernator Sachalinu.

W sobotę zrana odbyło się przyjęcie na „Mayflowerze“ złączone z wielkiem śniadaniem na cześć gości, którzy przybyli z Nowego-Jorku na dwóch osobnych krążownikach amerykańskich; tego samego dnia popołudniu „Mayflower“ i „Sylph“ odwiozły Kamurę i Wittego oraz ich oba orszaki do Portsmouth, gdzie w poniedziałek zaczęły się już pierwsze konferencye.

Baron Komura, którego prawą ręką jest milczący amerykanin, pan Donnison, od wielu lat wypróbowany doradca prawo-polityczny każdego japońskiego gabinetu, przedłoży już na tem pierwszem poniedziałkowem zebraniu najistotniejsze warunki Japonii. Jeżeli p. Witte nie oświadczy, że w zasadzie może o nich mówić, rokowania odrazu ulegną rozbiciu.

O ile można wierzyć amerykańskim dziennikarzom, wstępne te warunki dadzą się streścić w następujących punktach: 1) odszkodowanie w wyso-



Z wojny ros.-jap.: Epizod z walk nad rzeką Szaho: Piechota japońska wciągająca działo na pozycyę.



Z wojny ros.-jap.: Żołnierze japońscy przy grzebaniu trupów.

kości 200 milionów funtów szterlingów; 2) ustąpienie Sachalinu i półwyspu Liaotuńskiego na własność Japonii; 3) oddanie Japonii kolei żelaznej mandżurskiej od Charbina począwszy; 4) zwrot Mandżuryi Chinom bez żadnych z tego tytułu pretensyj; 5) uznanie japońskiego protektoratu nad Koreą; 6) zneutralizowanie Władywostoku, w zamian za które Japonia może się zobowiązać do niewznoszenia nowej twierdzy w Porcie Artura.

Treść tych warunków nie pozwala istotnie wróżyć wielkiego powodzenia misyi p. Wittego. Zdaje się, że zjazd w Björkö niewiele się przyczynił do wzmocnienia optymistycznych zapatrywań. Poseł Takahira przynajmniej, w przedstawieniu skierowanem w piątek do prezydenta Roosewelta wyraził obawy, że interwencya Niemiec udaremnić może porozumienie rosyjsko-japońskie. Zdaje się, że dyplomaci Wschodzącego Słońca wiedzą dobrze, czego się można spodziewać po mężach stanu z nad Sprei.

Okropności wojny nowoczesnej, opisywane w listach oficerów rosyjskich lub opowiadane przez tych. którzy już powrócili z pola wojny, są tak straszne i tak przerażające swę grozą, że włosy stają na głowie, kiedy się je czyta lub słyszy.

Pewien oficer rosyjski, do dziś dnia przebywający na polu wojny, opisując swoje wrażenia na polu walki, pisze między innemi:

„Zdarzyło się wieczorem po jednej z przegranych, jak zwykle, bitew. Znajdowaliśmy się w obozie. Dokoła ponure twarze, drżące spojrzenia, ranni i śmiertelnie wyczerpani ludzie. Na dobitek nie ma co jeść. Ani okruszyny chleba, ani szczapy drzewa na ogień. Nawet lazaretu w pobliżu niema. Furgony przepadły literalnie, jak pod ziemię. Nikt nie wiedział, gdzie się podziały. Dwadzieścia pięć stopni mrozu ściąga skórę, która pęka i krwawi. Krew w żyłach zdaje się unosić kawałki lodu. Kłuje i piecze.

W takich warunkach pozostać bez ruchu lub usnąć — to pewna śmierć. Wielu, bardzo wielu znalazło ją tej nocy. Przedstawcie sobie, jeżeli możecie, nasze okropne położenie. Wyobraźcie sobie dziesięć tysięcy ludzi, stłoczonych w jednę wielką, nieruchomą kupę. Ani jeden okrzyk, ani jedno słowo nie wydobywa się z tej ogromnej masy ludzkiej. Nawet nikt szeptać nie może i nie chce.

Maroderzy, którzy dowlekli się do obozu, opowiadali, że dokoła słyszeli straszliwe jęki rannych którzy, oderwani od swych oddziałów, pozostali na tych pustkowiach na straszną, mroźną i czarną noc.

Chcieli ich sprowadzić do obozu, ale nie mieli nic, na czemby najsłabszych zanieść można było. Musieli ich tedy zostawić ich strasznemu losowi. Cóż robić? — Jak i czem pomódz tym nieszczęśliwym?

— Musimy wyszukać rannych! — krzyknąłem. Nie możemy pozwolić, aby umierali tam na tych strasznych polach. Kto idzie ze mną?

Odpowiedzi nie ma. Zwracam się do pułkownika. Ten wzrusza ramionami. Mówię do generała. Ten w milczeniu odwraca się do mnie — plecyma. Zrozpaczony zwracam się wreszcie do lekarza wysokiej rangi.

— Cóż zrobimy z tymi ludźmi? Nie mamy ani noszów, ani lekarstw, ani instrumentów. Nic nie mamy. Dlatego zostaw ich pan w spokoju! Dobranoc!

Ani jednego słowa współczucia! Sprawiedliwość i litość zamarły dawno w tych ludziach. Nikt nie wzdraga się już przed okropnością. Nic, tylko tępa, dzika obojętność. Co czynić? Czy zawsze tak jest na wojnie? Wszyscy ci generałowie, pułkownicy, żołnierze, myślą o jednem — że jutro i oni pozostaną tak na dzikiem, bezludnem pustkowiu, jak ci tam oto, jęczący i przeklinający.

Z trudem udało mi się zebrać stu ludzi. Noc ciemna, aż czarna. Idziemy przez godzinę z zapalonemi pochodniami, ale jęki rannych wskazują nam drogę lepiej, niż światło pochodni, które wiatr lodowaty zaciekle szarpie. Co chwila odskakujemy jak spłoszone konie od kupy skostniałych trupów.

Nagle czuję, że coś mnie chwyciło za nogę i nie puszcza z miejsca. Dwoje rąk obwinęło się koło mojej nogi tak silnie, jak żelazna obręcz. Zęby wgryzły się w cholewę mego buta i usiłują go rozszarpać. Wszystko to wśród wojennego jakiegoś ryku, niby szczekanie psa.

Przerażony głośno krzyknąłem. Nadbiegli moi ludzie. Przy blasku pochodni ujrzeliśmy strasznie pokaleczony tułów bez nóg.

Ponieważ nie można się było wyrwać z strasznego ucisku jego rąk, żołnierze moi dobili go kolbami. Przeżyłem tę chwilę i dziwię się temu. Opisać jej nie mogę.

Serce moje przestało bić. W głowie zawirowały jakieś okrutne myśli, jak w gorączce. Zebrałem natężone siły i krzyknąłem: Róbcie koniec, na miłość Boga! Chodźmy!

Już zawracałem, kiedy uszu moich doszedł krzyk i jęk jeszcze straszniejszy, niż te wszystkie odgłosy, które tu słychać było dokoła.

Nie mogłem się oprzeć temu krzykowi i wbrew woli skierowałem się w stronę, z której mnie dochodził.

W ponurem, drgającem świetle pochodni, które zaledwie przenikało ciężką ciemność nocy — ujrzałem przed sobą — to nie była halucynacya ani gra wyobraźni — dziesięciu, dwudziestu, stu, może dwustu ludzi, którzy zupełnie nadzy, wywijając rękami i stojąc straszne grymasy, wykrzykiwali okropne przekleństwa i tańczyli zapamiętale. Tak jest, tańczyli. Nadzy, połamani, zbryzgani krwią od stóp do głów, tańczyli i przeklinali. Jedni, bez nóg, pełzali na rękach, inni, bez rąk, skakali na jednem miejscu, wywijając strzępami ciała, które im u łopatek wisiały. Inni wreszcie, zdrowi na ciele, uzbrojeni w karabiny, rewolwery i szable, rzucali się na towarzyszy i przypuszczali straszne ataki do brył kamieni, płacząc i śmiejąc się na przemian.

Nie poznali nas. Wszyscy rzucili się na nas, wołając: Idźcie precz! Nie zbliżajcie się! Nie zbliżajcie się! Idźcie precz!

Wszyscy ulegli masowemu szałowi. Po chwili huknął z pomiędzy nich strzał. Jeden z moich ludzi zwinął się w kłębek, podskoczył i upadł nieżywy. Po nim, drugi, trzeci... Kazałem pogasić po-



Z wojny ros.-jap.: Pole walki, zasłane trupami, w kilka godzin po bitwie na pagórku Putiłowa.

chodnie i cofnąć się. Jeszcze kilka godzin słyszeliśmy straszne okrzyki tych najnieszczęśliwszych. Nad ranem mróz widocznie uśmierzył ich szał. Krzyki ich stawały się coraz słabsze, a wreszcie zupełnie ucichły.

Nazajutrz kula strzaskała mi łopatkę. Nie wiem, dlaczego i w jaki sposób dotychczas jeszcze żyję. Ten skrwawiony tułów nagle wgryza mi się w nogę. Tam ciągle jeszcze widzę ten straszny taniec szału... Może i ja zwaryowałem... Może... Czy nie lepiej było zostać na tem polu na zawsze?...

W taki sposób opisuje okropność wojny oficer, przyzwyczajony do rozlewu krwi, do widoku poszarpanych ciał i trupów.

KRONIKA LWOWSKA.

(Tydzień uciech. — Ordery perskie. — Gorzkie rozczarowanie. — Prez. Michalski bez taksy. — Coś dla cywilów. — Order głowy słonia i order perskiej podwiązki. — Kelnerzy i Maks Schlesinger. — Order lwiego ogona. — Prośba o subwencyę. — Szczyt kanikuły a skutki gorąca. — Strzelanie do żony. — Trudno umierać. — Czytaj. — Co to było? — Małe nieporozumienie. — Zdradliwa służąca. — Drugi powód. — Roztargnienie z gorąca. — Omyłki na wekslach. — Pioruny. — Nasze kąpiele. — Gdzie się skupia życie artystyczne Lwowa? — Poważni literaci. — Zagadka dla prowincyi. — Historya pewnego szlagona. — Diva a szampan. — Są pewne zasady, — Serwus Schatzi! — Czułe pożegnanie. — Płacić. — Smutny powrót. — Spalił.

Po tygodniu strachu, niepokoju i zdenerwowaniu nastał wreszcie we Lwowie tydzień uciech i wesołości. Strejk ukończony dzięki interwencyi prezydenta Michalskiego, robotnicy wrócili do pracy, przekupki z całym spokojem wróciły na rynek i rozłożyły swoje kramy przed ratuszem, urzędnicy policyi otrzymali kilkudniowe urlopy, na Lwów spadł „deszcz“ orderów perskich.

Ordery perskie nie były wprawdzie niespodzianką, ale przyniosły nam gorzkie rozczarowanie. Mówiono przez cały czas, że owe ordery obficie wysadzane są brylantami a ci wszyscy, którzy przeczuwali order, z rozkosznym dreszczem oczekiwali wezwania do namiestnika. Gdy prezydentowi Michalskiemu dano znać przez telefon, że ordery już nadeszły i jeden z nich przeznaczony dla niego, stracił w pierwszej chwili równowagę intellektu, spocił się jak rzodkiewka w soli, zarumienił się jak cnotliwa niewiasta, napił się wódki, przejrządnął się w lustrze i poszedł do namiestnika. I nie można się dziwić temu zafrapowaniu, skoro się zważy, że jego poprzednik dr. Małachowski przez cały szereg lat czekał na jakiś orderek — nadaremnie. Lecz jakże się zawiódł p. prezydent Michalski, gdy mu pokazano tę blaszkę z wstążką, bez śladu brylantów, bez dyamentów a nawet rubinów lub szmaragdów, ten zwykły order kotylionowy, na który żaden szanujący się zakład zastawniczy ani jednej blachy nie da. Zemścił się tedy p. Michalski i zamiast przypiąć ten blachman do fraka, wyłożył go na najbliższem posiedzeniu rady miejskiej na widok publiczny, ażeby skompromitować szacha i jego kancelaryę orderową. Było dużo śmiechu i szubienicznego humoru przy omawianiu tej sprawy, a prezydent najwięcej cieszył się z tego, że mu nie kazano zapłacić taksy.

Takie same ordery otrzymali niektórzy urzędnicy policyi i namiestnictwa. Brylantów, ani innych drogich lub bodaj tanich kamieni nie można było odszukać przez mikroskop.

Do chwili, w której piszę tę kronikę, nie podano jeszcze nazwisk „cywilów“ udekorowanych przez szacha, bo w namiestnictwie dopiero naradzają się nad tem bardzo ostrożnie. Chodzi o to, aby order nie otrzymał nikt niepowołany. Jako obznajomiony ze stosunkami lokalnymi — przepraszam, że się chwalę, ale to już tak jest — służę sferom odnośnym pewnemi wskazówkami, które powinny wpłynąć bodaj częściowo na decyzyę.

Otóż w pierwszym rzędzie zasłużyli na order pp. Brzeziccy, którzy głównie przyczynili się do tego, że szach perski o naszym kraju tak rychło nie zapomni. Postarali się o to pp. Brzeziccy nietylko gościnnością, ale i rachunkiem, który na długo musiał utkwić w pamięci syna słońca. Jemu więc dajcie order głowy słonia, jej order perskiej podwiązki. Natomiast należy im wymierzyć taksę w wysokości jednej czwartej z ogólnej sumy prezentowanego rachunku. Sześciu kelnerów, którzy szacha obchodzili, i p. Maksa Schlesingera, który szacha obwąchiwał i dzielnie opisywał, nie należy również wypuścić bez orderu. Order długich palców na słońcu powinien być nagrodą ich poczciwej pracy. Czternastu szpiclów lwowskich zasłużyło godnie na ordery słonia za względu na symboliczny nos długi i niedołęstwo tego stworzenia.

Dyrektorowie Colosseum w liczbie czterech — dwóch artystycznych a dwóch „takoj tak“ — którzy urządzili galowe przedstawienie i podwyższyli wstęp na cześć obecnych gości perskich, w Colosseum nieobecnych (w czem dyr. art. Majblum dopatrzył się czarnej intrygi swego kolegi i konkurenta p. Pawlikowskiego), powinni otrzymać po jednym orderze lwiego ogona, z pod którego wysypuje się obficie proszek perski na symboliczną postać kobiety wyobrażającej Sztukę w Colosseum zachwalaną we wszystkich dziennikach lwowskich jako jedyny obecnie przybytek Sztuki narodowej.

A propos! Krąży pogłoska, że dyrekcya Colosseum wycina gorliwie recenzye dzienników lwowskich, ażeby je dołączyć jako świadectwo do prośby o subwencyę krajową i miejską. Poskutkuje.

Tych tedy mężów — że już więcej nie wyliczę — nie powinno namiestnictwo pominąć przy rozdzielaniu orderów perskich, jeżeli sprawiedliwość ma kierować tym rozdziałem.

Lecz radość Lwowa nie jest zupełną. Straszliwe upały, jakie obecnie we Lwowie panują, rozsprzęgają wszystkie węzły towarzyskie, społeczne i inne. Kanikuła dosięgła zenitu, a kroniki obfitują w taką mnogość wypadków, że reporterzy łamią karki, pędząc z jednego rogu miasta na drugi. I oto czytamy, że mąż szuka zbiegłej żony, która przez roztargnienie zabrała ze sobą kilkaset koron, pościel i inne drobiazgi, matce uciekła córka, mąż uciekł z przyjacielem domu, zostawiając żonę na gospodarstwie, przyjaciel strzelał do przyjaciela, inny nemrod strzelał z balkonu w rynku do prywatnego mieszkania — to wszystko z gorąca, z gorąca, z gorąca. Miasto traci ludzi, ludzie tracą głowy, głowy tracą rozum, rozum traci energię — kanikuła na całej linii, zenit kanikuły!

Czyż można się wobec tego dziwić, że pewien pan wrócił w tym tygodniu do domu z nabitym rewolwerem i polecił pięknej, jak anioł, żonie przygotować się na śmierć. Co się stało, co zaszło, jaka znów intryga? Napróżno żona stawia cały szereg pytań — mąż ma stanowczy zamiar przerobić żywą i piękną żonę na bladego, brzydkiego trupa.

— No, dobrze — powiada ona, gdy ochłonęła nieco z pierwszego strachu — ale ja chciałabym przed śmiercią dowiedzieć się, dlaczego umieram...

— Dowiesz się na tamtym świecie — odpowiada mąż, mierząc w żonę.

Chwyciła połyskującą lufę drobną rączką, kierując ją w bok. Nastała chwila męczącej pauzy. Nie tak łatwo przychodzi człowiekowi umierać z ręki męża bez pozostawienia ostatniej woli. Wreszcie ochłonął — jak zawsze — on pierwszy. Zaczął chodzić wielkimi krokami po pokoju, cisnąwszy rewolwer w kąt. Żona naprzód schowała rewolwer i kluczem przymknęła szufladę, a następnie poprawiła fryzurę.

— Więc powiesz nareszcie, co zaszło?

— Ty jeszcze pytasz, ty masz czoło pytać a wiesz już o wszystkiem od roku — ja, zaś jako mąż, dowiaduję się o wszystkiem ostatni, na końcu...

— Ale o czem, o czem?

Mężowi było już zawiele. Wyciągnął z bocznej kieszeni list i podał go żonie.

— Czytaj.

Czytała, rozszerzając coraz bardziej źrenice.

— To zupełnie coś nowego, o tem nic nie wiedziałam...

— Nie wiedziałaś, więc dowiedz się, że już wiem o wszystkiem — dziś się wszystko skończy.

— Więc za to chciałeś strzelać, za list pisany do ciebie, zapraszający cię na schadzkę.

Zmieszał się... Odebrał list i czytał cicho: „Aniele! Jutro o czwartej oczekuję z niecierpliwością. Do zgonu A. K.

— Teraz z kolei powinnam ja chwycić rewolwer, ale nie czynię tego, bo...

Nie skończyła. A teraz króciutki komentarz. Służąca znalazła rano ten liścik i chcąc się przysłużyć pani, która jej od pierwszego wymówiła miejsce, oddała go panu z uwagą, że pani wczoraj odebrała ten liścik a ona służąca, wykradła go, ażeby go oddać panu, którego bardzo szanuje. Pan nie myślał tyle nad samym listem, ile nad jego treścią. Nie zauważył nawet, że list ten sam otrzymał przed pięciu miesiącami od panny Anny K., artystki dramatycznej bez posady.

Ale był i powód, dla którego żona nie użyła rewolweru. Ten powód trwa jeszcze ciągle, dlatego dajmy mu naprzód dojrzeć, a potem doń wrócimy.

Roztargnienie męża tłómaczy się tylko piekielnem gorącem. Tem samem tłómaczy się fatalna omyłka a raczej szereg omyłek na wekslach, na których pewna trójka zamiast swoich zapisywała przez roztargnienie obce nazwiska zamożnych obywateli, naciągając w ten sposób kilka banków lwowskich na grubsze pożyczki. Co prawda to powstały te omyłki na wekslach w czasie chłodniejszym, bo o wiele przedtem, ale gorąco sprawiło, że teraz dopiero fałszerze omylili się w omyłkach, na czem ich złapano, mianowicie na gorąco (znów gorąco!) i odstawiono do aresztów.

Wobec tego na niebie zbierają się raz na ośm dni gęste chmury i zsyłają na nas obfity deszcz z piorunami, z czego najwięcej się cieszą w magistracie lwowskim, ile że nie trzeba skrapiać ulic.

Przy 36^0 C. żyjemy, pracujemy i kąpiemy się w pocie, tudzież w stawkach Kamińskiego, Morskiego Oka, w basenie św. Anny etc. Co prawda nie wiele nam ta kąpiel pomaga, ale na bezrybiu i to dobre.

Życie „artystyczne“ naszego miasta skupia się teraz w Colosseum. Już doszło do tego, że poważni literaci i dziennikarze z zachwytem wspominają spędzone tam wieczory w artykułach sążnistych, mlaskając języczkami na widok jedwabnych spódniczek wiedeńskich i berlińskich tynglówek. Dlaczego jednak ci znawcy nie chwalą równocześnie innych dwóch tynglów, to zagadka, nad której rozwiązaniem suszą sobie łeb miasta prowincyonalne. Zagadka swoją drogą już dawno rozwiązana — dla tutejszych nie jest zagadką.

Spragniony wrażeń artystycznych wybrał się pewien obywatel ziemski do Colosseum. Widział dużo ładnych rzeczy, wypił dużo piwa i wpadł w złoty humor. Zwłaszcza, gdy mu się zdawało, że jedna „z nich“, ognista brunetka uśmiechała się doń filuternie. Widać wpadłem jej w oko. Czemuż miało by to być niemożliwem? Trzeba było sprawdzić. Zawołał kelnera.

— Panie pan, czy nie możnaby jej poznać?... Można... Zaraz... Przychodzi dyrektor artystyczny... On dzierży tę moc... A zatem dobrze... Właśnie... Po przedstawieniu w obok położonej kawiarence ruch... Gruby szlagon czerwony jak jabłuszko. Obok niego blada od pudru diva... Przed nimi szklanice i ciasta. Tuż obok nich na posadzce lśniące naczynie o magicznym czarze i dwie flachy szampitra w lodzie, na krzyż... No więc... Ale kiedy przyszło do szóstej flaszki diva powiada, że dalej nie może teraz... Ona ma zasady. Teraz chyba po kieliszku koniaku a dopiero potem — a, potem już co innego, potem może być szampus do rana. Tak było... Szlagon był wytrzymały, ale ona zdawała się być bez dna... Gdzie ona to wszystko podziewa?... Płacić! Zapłacić... W tej chwili zjawił się jakiś mundurowiec...

— *A Schatzi, guat, dáss du dá bist* — zawołała diva.

I grzecznie pożegnała szlagona, który... hm...

Ona znikła z swoim „Schatzi“ a on, biedny szlagon wsiadł do dryndy i wrócił do hotelu. Po drodze dużo monogolował, pluł, zaciskał zęby i palił cygaro, palił, palił, palił, aż... spalił. *Kl.*

Kącik humorystyczny.

W urzędzie cywilnym.

Dorożkarz: Przyszedłem zameldować urodzenie syna!

Urzędnik (zapisując): Dziś mamy 25...

Dorożkarz: Ale nie, proszę pana urzędnika! To dopiero jedenaste, z tego dwoje już zmarło!

Dowcipny pryncypał.

— Panie Moryc, nie wychylaj pan głowy przez lufcik, bo burza.

— Ja się nie boję!

— Ja wiem, ale piorun najłatwiej w próżnię uderza.

Enfant terrible.

6-letnia Zosia, siedząc u mamy na kolanach, przegląda album z fotografiami, słuchając objaśnień. Zosia zamyka album, poczem mówi:

— Mamusiu, no, a teraz niech mamusia zgadnie, który z tych panów jest moim tatusiem?!

W wagonie.

Konduktor: Przepraszam, tu palić nie wolno!

Podróżny: Ależ wszak tu jestem sam jeden tylko.

Konduktor: Wszystko jedno! Palić nie wolno, choćby nawet tu zupełnie nie było nikogo!

Podwójny jubileusz.

— Kolega nasz, szanowny jubilat, obchodzi dziś podwójną uroczystość: dziesięciolecie należenia do naszego stowarzyszenia i pięciolecie niepłacenia składek!...

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

11 (Ciąg dalszy).

Franciszek Springer ze strachem spojrzał na doktora, który ostatnie słowa wypowiedział prawie obojętnie, ze zwykłym swoim spokojem.

— Daj spokój, doktorze! na miły Bóg, daj spokój! — zawołał — nie przyprowadzaj mnie do szaleństwa! Dlaczego opowiadasz mi o tem wszystkiem, a nie mówisz, jak temu zaradzić?! Przecież nie mogę zmusić Heleny, aby wyszła za mego syna, skoro go ona nie znosi!...

— To prawda! ale właśnie trzeba pomyśleć, żeby ona zaczęła go znosić!...

— Ba! ale co robić? co robić, doktorze, skoro z nią nawet kobiety nie mogą sobie dać rady?...

— Co to kobiety? W takich wypadkach nie zawsze są najsprytniejsze!... Wczoraj ja sam nie byłbym jeszcze wpadł naprzykład na ten pomysł, jaki mi dziś list Heleny nastręczył!...

Springer spojrzał pytająco na doktora, a ten mówił dalej, ale już pewną niecierpliwością:

— Przecież to najprostsza rzecz pod słońcem! Widzisz przecie, że dziewczyna nie tęskni za komplementami, którymi ją twój syn zasypuje. Ona ogląda się za kimś, ktoby stanął po jej stronie w walce z nami, ktoby ją z tego położenia uwolnił!...

— O tem wiem! — rzekł ponuro Springer — i dlatego właśnie mój Cezar niema żadnych widoków zwycięstwa!...

— Czy tak? — uśmiechnął się szyderczo adwokat. A dlaczegóż twój syn nie mógłby być jej stronnikiem? Dlaczego przez parę tygodni nie mógłby on bawić się w naszego nieprzyjaciela, jeśli chodzi o to, aby raz na zawsze wsadzić do klatki tego złotego ptaszka?!...

Twarz Springera rozjaśniła się odrazu. Zrozumiał teraz, o co chodzi doktorowi.

— Doprawdy, doktorze, że ty jesteś najlepszym moim przyjacielem i doradcą! Bez ciebie byłbym już sto razy zgubiony!...

— Cieszy mnie to uznanie! — odpowiedział chłodno Harras. — Przy tej jednak sposobności prosiłbym cię, abyś przywołał do porządku twoją córkę. Zdaje mi się, że w tym domu nie powinny mnie takie, jak dziś, przyjemności!...

— Ależ kochany doktorze! nie możesz chyba mieć do mnie urazy za głupotę tej dziewczyny. Albertyna otrzymała już swoją porcyę i dziś wieczorem padnie ci do nóg, aby prosić o przebaczenie. Tymczasem jednak wróćmy do głównej rzeczy. Czy sądzisz, że Helena wpadnie w te nowe sidła?

— Hm! to zależy od sprytu i zręczności Cezara. Ale zdaje mi się, że nie będzie to takie trudne, bo tonący z rozpaczy chwyta się brzytwy, a Helenie do tego stopnia rozpaczy już chyba nie daleko!...

— Ona mu jednak nie ufa, więc początek będzie bardzo ciężki!...

— Prawda, ale i na to jest rada. Dziś przed kolacyą w przyległym pokoju, od którego drzwi będą uchylone, pokłócicie się. On stanie w jej obronie, będzie przysięgać, że nie pozwoli oczerniać jej ojca, ani więzić jej tutaj. Krótko i węzłowato, odegracie komedyjkę, a im więcej ty będziesz na niego napadać, im więcej go będziesz łajać, tem lepiej, bo struna dramatyczna w sercu dziewczyny silniej zadźwięczy, a o to tylko chodzi. A potem... no, potem będzie odgrywać jej przyjaciela! Gdyby zaś to za długo trwało, sięgniemy do apteczki domowej po pewien niezawodny środek!...

— Jaki? jaki? — zapytał drżącym głosem Franciszek.

— Trzeba będzie skompromitować ją w jakiś sposób z Cezarem. Sposobności do tego nigdy nam nie zabraknie. Ale to należy już do dalekiej przyszłości i wolałbym tego uniknąć. A tymczasem pilnujmy się i pilnujmy dobrze poczty, amerykańskiej zwłaszcza, że i my czekamy przecie listów z tej obiecanej ziemi!...

— O to możesz być spokojny, doktorze! Helena bez mej wiedzy nie odbierze ani jednego listu, choćby ten Archer wysyłał jej tysiące korespondencyi co dnia! Ale gdy mowa o Ameryce, to powiem jeszcze jedno. Dyablo mnie gnębi obawa, czy Rudolf nie opowiadał tam komu, że zarobione sumy zdeponował u mnie. Udowodnić tego nikt by dziś nie mógł, ale w każdym razie nie należy do przyjemności żyć w ciągłej trwodze!...

— W tej sprawie Bergmann da nam niebawem dokładne wyjaśnienia. On już chyba dawno jest w Ameryce i prowadzi tajne śledztwo. Kazałem mu przytem, aby zaraz mi telegrafował, gdyby tylko okazało się coś podejrzanego. Ponieważ zaś do tej pory nie mam od niego żadnej wiadomości, wszystko musi być w porządku!...

Springer uśmiechnął się i zatarł z zadowoleniem ręce.

— Pan o wszystkiem myślisz, doktorze! Pan doprawdy jesteś tą epoką, na której można bez obawy wznosić potężne gmachy! A ten Bergmann, co to za zręczny łajdak! Zdaje mi się, że to była najszczęśliwsza chwila w mem życiu, gdy go złapałem za rękę przy mojej kasie. Lepszego pomocnika nigdybyśmy chyba nie znaleźli i zawdzięczamy mu chyba dość szczęśliwie przeprowadzonych interesów!...

— Nie my, tylko pan, panie Springer! – rzekł doktor z naciskiem — interesy, do których używałeś pan Bergmanna, wyłącznie ciebie tylko obchodziły i tyś z nich tylko korzystał!...

— Nie kłóćmy się o to, doktorku! — zaśmiał się rubasznie Franciszek Springer — zdaje mi się, że obaj zarobiliśmy na tem. A trzeba ci było widzieć, jak on wspaniale wyglądał w Hamburgu. Powiadam ci, że ja go sam nie poznałem!...

Adwokat wstał z krzesła i gniewnie spojrzał na mówiącego.

— Już raz powiedziałem panu, panie Springer — rzekł surowym głosem — że ja nie wiem i nie chcę wiedzieć o niczem, co zaszło w Hamburgu. Słyszałem, że pański brat padł tam ofiarą nieszczęśliwego wypadku, ale nic więcej! Co pan zrobiłeś, albo też kazałeś zrobić, to uczyniłeś na swoją własną odpowiedzialność i jeśli tylko zechcesz mnie mieszać w te rzeczy, tak natychmiast zerwę z tobą wszelkie stosunki! Mam niepłonną nadzieję panie Springer, że więcej nie będę zmuszony przywodzić pana do opamiętania!...

Springer zbladł jak chusta i z tajonym gniewem spojrzał na doktora, ale pod siłą jego wzroku, pochylił głowę i zaczął mruczeć coś o pośpiechu, chwilowem zapomnieniu i uniesieniu, co wszystko razem brzmiało jak pokorna prośba o przebaczenie...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Córy Japonii.

Powieść japońska O. Tokutara.

4 (Ciąg dalszy).

U lewego boku jeźdźca wisi długi miecz. Przejeżdża obok, jakby nie widząc nikogo.

Młody rycerz zawołał:

— Tu jest Matsuura Kosziro Morizane. Chociaż jestem trochę zraniony, nie utraciłem jednak męstwa. Jeśli masz również trochę odwagi, to pragnę z tobą walczyć.

Usłyszawszy wołanie, jeździec podjechał, zatrzymał konia i spojrzał na twarz ranionego.

— Kosziro, to ty?

Kosziro spojrzał podejrzliwie na jeźdźca i odrzekł:

— Tak, jestem Kosziro Morizane, a ty kto?

Jeździec pokazał mu maleńki sztandar i na czerwonem tle jego swe imię: Tojama Zakonnomke Tagenige.

Kosziro zawołał ze smutkiem:

— To ty, wuju?

— Kosziro, dawno cię już nie widziałem — smutnie odpowiedział jeździec i zsiadł z konia; trzymając konia za cugle, podszedł do swego bratanka.

Kosziro ukłonił się uprzejmie.

— Życzę ci zdrowia.

Wuj odrzekł:

— Ja tobie również. — Marszcząc brwi, spojrzał na Morizane. — Tyś raniony? Sądząc z koloru twej twarzy i z twego oddechu, jesteś ciężko raniony.

W czasie wojny ojciec porzuca syna, syn — ojca.

Podczas walki nie wolno słuchać słów życzliwych, ani też wypowiadać je. Serce ludzkie jest pełne odwagi. Współczujące słowo wodza nie obowiązuje nigdy do oszczędzania nieprzyjaciela. Rycerz, ujrzawszy nieprzyjaciela, zabija go lub sam ginie.

W taki uciążliwy czas młody rycerz ujrzał swego wuja. Słowa, które od niego usłyszał, brzmiały miękko. Łzy trysnęły z oczu Kosziro i zmyły krew z jego pancerza.

— Tak — odrzekł bohater, lecz dalej mówić nie mógł.

Głowa jego opadła na dół.

Wuj wyjął ze swej szkatułki proszek od ran, zmoczył go językiem, wziął na palec i rzekł:

— No, Kosziro, masz tu lekarstwo, podnieś twarz.

Morizane wówczas podsunął wujowi twarz z wdzięcznością; ów, podtrzymując ręką jego brodę, nałożył na ranę lekarstwo i rzekł:

— Oh, co za rana! Czy bardzo cię boli? Nie bardzo? Może masz także rany od strzał?

— Tak — odrzekł Kosziro — na lewej ręce i na prawem ramieniu.

Wuj zapytał:

— A więc kula cię nie trafiła?

— Nie, na szczęście.

— Wargi twe drżą.

Ukazując na zabitego żołnierza, młodzieniec odrzekł:

— Ten mały niespodzianie zranił mnie w bok.

Wuj dodał:

— Jakto, ten? I zabiłeś go?

Na twarzy jego ukazał się lekki uśmiech, jakby chciał pochwalić męstwo bratanka.

Młodzieniec uśmiechnął się również i rzekł:

— Tak, uciąłem mu głowę.

Wuj pochwalił go i strzepnął śnieg z jego włosów. Wpatrując się w twarz młodzieńca, mimowoli odwrócił się i otarł łzy.

Nagle rozległ się strzał. Zagrzmiały zwycięskie salwy.

Młodzieniec podniósł głowę i spojrzał w stronę, skąd dochodził szum, poczem utkwił oczy w twarz wuja.

— Niespodzianie spotkałem cię tutaj; jestto radość przedśmiertna.

— Przedśmiertna? — zapytał starzec.

— Tak, chcę wrócić na plac boju i zginąć tam.

— To dobrze, jesteś odważny, lecz wojsko wasze jest rozbite. Słyszysz, słyszysz! Zwycięskie okrzyki po naszej stronie. Pragnienie twoje wrócić i walczyć dalej jest chwalebne, lecz bezcelowe. Możesz rzucić się na wroga i odważnie się bić, lecz zwyciężyć nie jest w twej mocy. Byłoby to dziką ofiarą! Przytem jesteś raniony, może cię zabić przeciętny żołnierz. Nie dzisiaj tylko będą walczyć — wylecz swe rany, nabierz nowych sił. Walcz potem dalej. Życie zdołasz zawsze poświęcić. Teraz, jedź ze mną; pozwól wyleczyć swe rany. Czy zgadzasz się, Kosziro?

Biedny Morizane odrzekł ze smutkiem:

— Nie wolno mi cię słuchać. Powiadają, iż jeśli człowiek umiera tam, gdzie umrzeć nie powinien, hańba jego jest gorszą od śmierci. Szczęście nasze wojenne pobladło; jesteśmy rozbici, ja zraniony nie leżę na polu walki; przyjaciel i wróg powinni mieć mnie za tchórza. Czyż śmiałbym uciekać do was i leczyć swe rany? Dałeś mi radę przyjacielską, lecz czasy się zmieniły, teraz jest wojna. Czyż należy tak mówić do wiernego, spragnionego sławy rycerza? Ja, Kosziro, nie oszczędzę swego życia.

— Żartujesz, wuju. Byłeś przyjacielem mego nieboszczyka ojca, wychowałeś mnie, czemu nie rozkażesz mi odważnie brzuch sobie rozpruć? Życzliwość twoja sprawia mi ból.

Wuj zamilknął. Zanurzył miecz swój w ziemię i oparł się o siodło. Morizane czekał odpowiedzi, wreszcie rzekł:

— Panie wuju, odchodzę.

Takenige pogrążony był w myślach i nie słyszał go; nie ruszył się z miejsca, tylko koń jego zarżał, zrzucając śnieg z grzywy.

— Żegnamy się na zawsze — ciągnął Morizane dalej. — Proszę, pozdrów odemnie żonę twą, moją ciotkę i ciotkę waszą, Janinę.

Chciał jeszcze coś dodać, lecz głos mu się załamał. Wreszcie zebrał siły i rzekł:

— Ah, ja nieszczęsny Kosziro! Gdy miałem ośm lat, straciłem rodziców i stałem się ciężarem wujowi i ciotce. Odziedziczyłem tylko dom ojca mego, małe mam środki do życia. Powinienem wam wywdzięczyć się za to, żeście mnie wychowali. Wojna ta wybuchła niespodzianie i znalazłem się w szeregach wroga twego. Okazuję się teraz takim niewdzięcznym!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wspomnienia dzieciństwa.

W rodzinie Johana panował kult prawdy.

— Mówcie zawsze prawdę, nie myśląc o tem, co wam z tego przyjdzie — mawiał często ojciec i opowiadał przy tem pewną historyę ze swego życia.

Pewnego razu obiecał jednemu ze swych klientów, że odeszle natychmiast kupiony u niego towar i nie dotrzymał słowa, bo zapomniał o przyrzeczeniu.

Na swoje usprawiedliwienie mógłby przecież wymyślić jaką ptzyczynę, ale gdy wściekły klient wbiegł do sklepu i wpadł na niego z przymówkami, ojciec grzecznie prosił go o przebaczenie, uznając swoją winę. Sens moralny: zdziwiony klient wyciąga do niego rękę, wyrażając głośno swój szacunek.

Pomiędzy kupcami trudno o podobne stosunki.

Muszę zauważyć, że ojciec był człowiekiem dosyć rozumnym, ale jak wszyscy ludzie w starszym wieku, był uparcie przekonany o słuszności swoich wniosków.

Johan, nie lubiący marnować czasu napróżno, zrobił jawne odkrycie czas, któoy tracił na przejścia do szkoły można było zużytkować.

Pewnego razu znalazł na chodniku przy holenderskiej bramie mutrę — przywiązawszy ją do sznurka, zrobił sobie z niej procę.

Od tego czasu chodził zawsze środkiem ulicy, podnosząc wszystkie kawałki żelaza, jakie znalazł.

I każdy uważny przechohzień pieszy może być pewny, że znajdzie codzień, albo parę gwoździ, albo śrubę, a przynajmniej mutrę a często i całą podkowę.

Johanowi podobały się mutry znajdywane i stało się to jego specyalnością.

Przez miesiąz zebrał ich mnóstwo, zapełniając prawie czwartą część beczki.

Pewnego razu, gdy zachwycał się swoim sportem, siedząc nad beczką, wszedł ojciec.

— A to co? — zaoytał ze zdziwieniem.

— Mutry — odpowiedział spokojnie Johan.

— Skąd to wziąłeś?

— Zebrałem je.

— Zebrałeś? Gdzie?

— Pod bramą.

— Wszystkie w jednem miejscu? .

— Nie, w różnych miejscach. Idę sobie środkiem ulicy i znajduję — spokojnie objaśniał syn.

— Nie, kochanku, mnie nie oszukasz. Kłamiesz! Chodź, no tu, muszę z tobą porozmawiać.

I porozmawiał, ale nietylko słowami.

— Teraz przyznasz się, pewno.

— Ależ, ja znalazłem je na ulicy.

Ale ojciec bił zyna dotąd, dopóki się nie przyznał.

Do czego miał się przyznać?

Upokorzenie, strach, że jego męka nigdy się nie skończy, zmusiły go do kłamstwa, ukradł więc mutry.

— Gdzie?

Nie mając pojęcia, w jakiej części bryczki czy wozu znajdują się mutry, zdecydował, że nspewno u spodu.

— Naturalnie pod bryczką.

— W jakiem miejscu?

Wyobraźnia pracowała usilnie. Przypominał sobie nareszcie miejsce, gdzie kiedyś widział dużo stojących wozów.

— Niedaleko od domu naprzeciw Sinderskiej ulicy.

Ścisłe określenie miejsca czyniło zeznanie prapodobnem. Teraz nareszcie dowiedział się prawdy, gdyż starzec był pewny, że syn skradł mutry.

Wówczas nastąpiły wyjaśnienia.

— Ale jakże mogłeś wyjąć? Chyba nie gołemi rękami odkręcałeś?

O tem Johan nie pomyślał.

Ale w tej chwili stało przed nim pudło z instrumentami ojca — więc nie namyślając się — rzekł:

— Dłutem.

Mutry nie można wykręcić dłutem, ale wyobraźnię ojciec miał wzburzoną, więc się kłamstwo udało.

— Ależ to jest okropne! Ty jesteś złodziejem! Co będzie z ciebie w przyszłości? Pomyśl tylko, co byłoby, gyyby policya cię spostrzegła?

Przez chwilę Johan ma gorącą chęć uspokoić ojca, powiedzieć mu, że to wszystko kłamstwo, ale perspektywa nowych razów ochładza go i powstrzymuje.

Wieczorem, gdy kładł się spać i matka przyszła odmówić z nim razem modlitwę, syn wzniósł ręce do góry i wykrzyknął:

— Ja nie kradłem mutr — niech to licho porwie!

Matka spojrzała na niego przeciągle i rzekła:

— Nie dobrze jest tak zaklinać się.

Kara poniżała go, zbeszcześciła i chłopiec zły był na Boga, na rodziców, na braci, którzy mogli wytłumaczyć ojcu, usprawiedliwić go, a milczeli.

Tego wieczoru nie modlił się wcale, a w sercu jego kryło się pragnienie, żeby tego wieczoru, wybuchł u nich pożar, żeby wszystko zgorzało, ale tylko, żeby nie jego winy.

Pierwsza miłość.

Wśród okropności szkolnego życic, kiedy dziecko nie może pojąć przyczynowego związku pomiędzy gramatyką łacińską, a życiem, wkrótce wyrasta przed nim nowa zagadka.

Dziawięcioletnia dziewczyna, córka rektoro przychodziła na lekcye francuskiego języka.

Sadzali ją umyślnie na ostatniej ławce, żeby jaj nikt nie widział, obejrzeć się za siebie uważane było za okropne przestępstwo. Pomimo to obecność jej w pokoju cyuł każdy z nich, niemal odgadywał.

Męzkie instynkty nie budziły się wówczas jeszcze w małym chłopcu, ale on jak i cała klasa, był w niej zakochany.

Lekcye zawsze przechodziły wzorowo, gdy „ona“ była w klasie. Obecność jej podniecała ambicyę i każdy z chłopców wystrzegał się, żeby nie zasłużyć na karę i nie otrzymać jedynki. Napewno nie była piękna, ale ubrana była przepysznie.

Jej łagodny głosik dziwnie wzruszająco dźwięczał wśród głosów chłopców i nawet twarz nauczyciela wysilała się na uśmiech, gdy się do niej zwracał. — A jak cudnie brzmiało jej imię, gdy ją wywoływali.

Miłoś Johana objawiała się w skromnej melancholii. Nigdy z nią nie mówił. gdyż nie ośmielił się. Ona go przejmowała jakimś lękiem, a jednocześnie przyciągała. Ale gdyby ktoś podszedł do niego i zapytał, czego od niej prahuie, nie mógł by nn to dać odpowiedzi

On niczego od niej nie chciał.

Pocałować ją? Nie! Wszak u niego w domu nikt nie całuje nigdy nikogo. Wziąć ją do siebie! Nie, nie chciał by nawet jej posiąść. Mieć ją na własność? Nie, bo coby on z nią zrobił?

Chłopiec pojmował tylko, że nosi w sobie wielką tajemnicę. I to go tak męczyło, że odtąd życie jegu stało się jakby przyćmione.

Pewnego razu, będąc w domu, porwał nóż i rzekł: „Ja się w tej chwili zarżnę!“

Matka pomyślała, że syn chory. Ale on nie mógł jej powiedzieć, co go dręczy. Przecież miał zaledwie dziwięć lat...

Gdyby w szkołach była równa ilość chłopców i dziewcząt, napewno między niemi nawiązałyby się niewinne węzły przyjaźni; magnes by zniknął, urok madonny upadł i przewrotne pojęcie o kobiecie nie trapiłoby przez całe życie ani jego, ani jego kolegów.

K O N I E C.

Na kolejce.

— To dopiero! Miałem tu na stacyi wysiąść, a pociąg ją minął. Jak to można?

Konduktor: A, bo proszą pana, maszynista tu w bufecie jeszcze winien.

Straszne położenie.

— Pomyśl tylko, w jak okropnem znalazłam się wczoraj położeniu. Gdy zemdlałam dla nowego kapelusza, musiałam słuchać bez drgnienia, jak mąż całował młodszą.

Na poczcie w Poznaniu.

— Wiesz, jednak na poczcie tutejszej są już znaczne ulgi.

— Gdzież to widzisz?

— Wolno już używać własnego polskiego języka.

— W adresach?

— Nie... do lizania i naklejania marek.

Czelny.

Sędzia: Jeżeli sumienie oskarżonego jest tak czarne, jak zarost — to bardzo smutne!

Oskarżony (spozierając na wygolonego sędziego): Ależ, panie prezesie, wnosząc z pańskiego zarostu, toby pan prezes był zupełnie bez sumienia.

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

Ułożył W. K.

I.

Kto *pierwsze-drugie* szczerze i wiernie,
Znosi cierpliwie zawodów ciernie,
Kto zaś w miłości skryty, nieszczery,
To już największa jego *trzy-cztery.*
Całość zaś słynie z cudownej kaplicy,
Do której dążą pobożni pątnicy.

II.

Kto okrągłe kształty ma,
Nie używa... *jeden-dwa!..*
Trzecie-drugie: męskie imię, —
Wszystko znajdziesz w starym Rzymie.

III,

Każdy te literki zna:
Pierwszą wprost, — i wspak *dwa.*
W *trzecim* umysł odpoczywa —
Całość w lecie się spożywa.

Arytmogryf.

ułożył W. K.

19 **21** 3
15 18 1 21 2 **18** 1 4 18 5 12
5 14 20 12 19 12 18 **1** 6 5 12 16 12 21 3
17 14 5 **12** 3 5 12
20 7 **3** 4 3
2 19 **11** 18 3
8 3 11 **19** 21 18 3
12 16 13 **6** 14 21 10
2 7 3 15 **18** 9 15 2 18
20 3 **21** 10 1
11 19 22 **3** 21 2 3
4 14 **8** 1 2
7 3 21 **2** 18 1 22
17 **3** 7

Zamienić liczby na litery, które dadzą 14 wyrazów o następujących znaczeniach:

1. Powieść Rodziewiczówny.
2. Powieściopisarz współczesny,
3, Komedya A. Fredry.
4. Miasto w Galicyi.
5. Rzeka.
6. Rodzaj lancy.
7. Cesarstwo.
8. Imię męzkie.
9. Poeta polski.
10. „ włoski.
11. Folwark pod Warszawą.
12. Tłómacz Biblii katolickiej.
13. Postać z „Pana Tadeusza“.
14. Miasto na Podolu.

Środkowe litery wyrażają nazwę kwiatu.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznacza redakcya wspaniale illustrowaną książkę Bełzy p. t. „*W ojczyźnie bohatera*“.

Rozwiązania z Nru 31.

Rebus: Pokutuje często dziecię za rodziców winy.
Szarada: Pierogi.
Łamigłówka: Fredro — Zemsta.
Logogryf: Ludwik Solski — Edmund Rygier.

Dobre rozwiązania nadesłali: J. Rottermund Szaflary, H. Stehlikówna Szczyrk, K. Fuchs Peczeniżyn, A. Kotowicz Lwów, R. Żabka Biała. Z. Dobrowolska Borszczów, M. Albiński Zakopane, B. Ramułtowa Jeżów, Czytelnia Towarz. Szkoły lud. w Kołaczycach, St. Łaszkiewicz Słotwina, T. Domain Sanok, Remiszewski Załawie, W. Źralski Podgórze, J. Taborówna Prądnik czerwony, Wł. Hałaciński Lichwin, D. Żelasko Nowy Targ, J. Badura Rożdzień, K. Chodkiewicz Zbydniów, A. Stadnik Grabiny, H. Mokrzycka, St. Turska Krynica, Fr. Josefert Kraków, H. Zielińska Manajów, M. Rożański Nowy Sącz, J. Biegoń Ślemień, Banke Kraków, A. St. Bassara Niwiska, M. Opolska Czarny Dunajeo, ks. W. Grochola Mała, Kuszpeciński Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. Stefanowa Turska w Krynicy. Prosimy o nadesłanie 50 halerzy na koszta przesyłki.

Apteka Fort. Gralewskiego w Krakowie, ul. Szczepańska 1 poleca następujące wyroby własne:
Petrogen „Jahra“ wyśmienity środek do konserwowania włosów, usuwa łupież i swąd z głowy, wzmacnia cebulki włosowe i zapobiega wypadaniu. — **Cena** flakonu koron 2 i 4.
„Jahra“ Kali chloricum pasta do zębów, wybiela zęby, desinfekcyonuje i konserwuje jamę ustną. Tuba 80 hal.
„Jahra“ Antyseptyczna woda do ust, znakomita woda do utrzymania zdrowych zębów i do płukania ust. Flakon koron 1·20.
„Jahra“ Wata Mentoformolowa wyśmienity środek przy katarach nosa. — Pudełko 40 hal.

Poleca rozmaite wyborne gatunki

KAWY

codziennie świeżej

równo i pięknie palonej najnowszym i najlepszym sposobem **za pomocą gorącego powietrza** odznaczającej się najprzedniejszym czystym smakiem, pełnym i silnym zapachem, największą wydatnością, a zarazem posiadającą własność utrzymywania przez czas długi smaku i zapachu, w niezmienionej pierwotnej świeżości **po cenach bardzo przystępnych.**

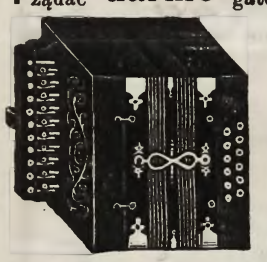
Na prowincyę wysyła od czterech kilgr. począwszy **codzień świeżo** paloną kawę 2—14 **opłatnie.**

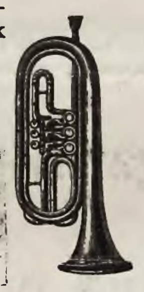
Pierwsza Krakowska
elektro-mechaniczna
PALARNIA KAWY



M. JAWORNICKI
KRAKÓW
Rynek gł. 44.

Proszę żądać **darmo** i franco mój nowy bogato illustrowany cennik **instrumentów muzycznych** wszelkiego rodzaju.

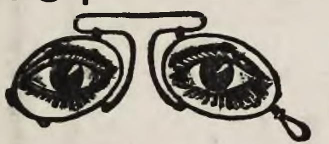




Józef Püchner
fabryka instr. muzycznych
Bielsko, (Śląsk austr.)

Kart widokowych z każdej miejscowości podług fotografii, rysunku, dla p. p. księgarzy, kupców, Kółek rolniczych, dostarcza w artyst. wykonaniu, szybko i taniej niż w Niemczech
Henryk Frist, Kraków
właśc. konces. przez c. k. Namiestnictwo Salonu artystycznego.

30 procent oszczędzi każdy na binoklach, okularach i t. d., kupując je u firmy:



T. ARMATYS
optyk i mechanik
Kraków, ul. Grodzka l. 6.
P. P. c. k. Urzędnikom, Akademikom i Studentom **jeszcze 10% opustu.** 1-?

Wincenty Rucharski
krawiec męski
Kraków Lenartowicza 6.
11 10-30

Nakładem Wydawn. Salonu Malarzy polskich wyszedł
Cykl historycznych obrazów na pocztówkach
Floryana Cynka, prof. Akad. sztuk pięknych w Krakowie.
Cena Kor. 1·—
Za nadesłan. K 1·20 wysyła franko
Henryk Frist, Kraków
Floryańska l. 37.

„ARS“
Salon sprzedaży rzeźb i obrazów artystów polskich, otwarty codziennie w **dnie powszednie** od 10 do 1-szej zrana i od 2 do 4 po południu.
Ul. Bracka 5, na parterze.

SALON KOSMETYCZNY
PRZY UL. BISKUPIEJ L. 14
poleca najlepsze aparaty i preparaty do pielęgnowania twarzy, włosów, rąk i palców. Wszelkie środki są zbadane i polecone przez Dra **Lustra**, specyalistę kosmetyki lekarskiej w Krakowie.

Panowie i Panie
wszystkich stanów,
mogą wszędzie jako dochód uboczny do **300 Kor.** miesięcznie zarobić, przez zastępstwa, zajęcie pisarskie, ręczne roboty, wskazywanie adresów i t. p.
Bliższa wiadomość pod **M. 14** przez firmę: Karol Wörfel, Nürnberg, Austrasse 76.

Oryginalne SINGERA

Należy uważać na markę fabryczną

Maszyny do szycia
Singer Co. Tow. akcyjne maszyn do szycia.

Na wystawie światowej w St. Louis (Stan. Zjednoczone) otrzymały
Oryginalne Singera maszyny do szycia
za niezrównaną wielostronność w wykonaniu robót najwyższe odznaczenia:
Siedm „Grand Prix“
Siedm złotych medali
Singer Comp. Towarzystwo akc. Maszyn do szycia
Kraków: ul. Szpitalna 40 naprzeciw teatru miejskiego, Kazimierz, ul. Wolnica.

Filie w Zachodniej Galicyi:	Filie na Śląsku austr.:
Tarnów: ul. Wałowa 13.	Bielsko: ul. Kolejowa 2a.
Rzeszów: Trzeciego Maja 5.	Freiwaldau: Rudolfsplatz 170.
Nowy Sącz: ul. Jagiellońska.	Cieszyn: ul. Stefanii 38.
Chrzanów: Mickiewicza.	Opawa: Speergasse 5.

MŁODA WDOWA

z lepszego domu, wykształcona w językach: niemieckim i francuskim, posiadająca znajomość gry na fortepianie jako ukończona uczennica konserwatoryum muzycznego w Krakowie, artystka-malarka, znająca się poza tem na prowadzeniu gospodarstwa domowego, szyciu i haftach — poszukuje jakiegokolwiekbądź zajęcia w zakresie swoich uzdolnień.

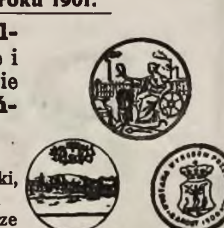
Łaskawe zgłoszenia: Administracya „Nowości illustrowanych“ w Krakowie, Zacisze l. 5.

Dyplom honorowy na wystawie w Krakowie roku 1901.

Filia w Krynicy pod białą różą.



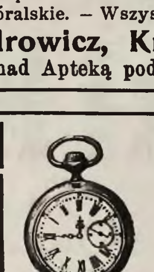
Peleryny zakopiańskie i tyrolskie od deszczu i zwykłe damskie i męskie po złr. **7·50**. Oraz na składzie wielki wybór **Guniek zakopiańskich** damskich i dziecinnych. **Serdaki** damskie i dziecięce. Sabałówki, Żuawki, Ułanki, Kryniczanki, Sukmanki kościuszkowskie, Karazye, Czapki i Paski krakowskie i Kapelusze góralskie. – Wszystko wyrobu własnego.



Filia w Krynicy pod białą różą.

Wojciech Sznajdrowicz, Kraków, Rynek Linia A-B 45
nad Apteką pod „Białym orłem“.

Singera maszyny do szycia
znakomitej jakości, sprzedaje z 5-letnią gwarancyą na wypłat w małych ratach
NIEMETZ I SP.
w Krakowie, ul. Szewska 2 (pierwszy dom od Rynku).
Przyjmuje wszelkie naprawy. Ceny niskie.



Proszę żądać darmo i opłatnie mój bogato ilustr. cennik, zawierający 1000 rysunków dobrych i tanich zegarków, przedmiotów złotych i srebrnych
HANNS KONRAD
PIERWSZA FABRYKA ZEGARKOW
w BRÜX Nr. 786 (Czechy).
Prawdziwy niklowy zegarek anker rem. syst. Roskopf patent w skórkow. futerale wraz z łańcuszkiem złr. 2·50. Nikl. budzik złr. 1·50, 3 szt. złr. 4. Żadne ryzyko. Zmiana dozwolona lub pieniądze z powrotem.

WĘGIERSKA
RÓŻANA Papryka Szegedyńska najlepsza, słodka, ręczę za prawdziwość, uznanej znakomitej jakości, własnego wyrobu klg. za 5 K. Wysyłka za zaliczką, począwszy od 1 klgr. opłatnie. Dalsze specyalności: Słonina, węgierskie salami itp. b. tanio.
Dom wysyłkowy różnorodnych produktów krajowych
Haupt A. Rudolf, Budapest
VII. Ovodagasse 22.

„Nowości illustrowane“ są wszędzie do nabycia!

Nowości w bluzach, halkach i bieliźnie

M. Beyer i Spółka
Kraków
Sukiennice l. 12, 13, 14



Spłaty częściowe!
dozwolone za poprzedniem ustnem lub listownem porozumieniem się.

Bezsprzecznie największy wybór!

Renomowana i powszechnie znana firma

Dom towarowy „AU LOUVRE“
we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6 (Pasaż Hausmana)

poleca swój obfity i bogato zaopatrzony skład wszelkich możliwych gatunków dywanów (także kościelnych i przed ołtarze) dywaników, portyer, firanek, chodników, kap na stoły i łóżka, cerat, linoleum, kołder, koców, der na konie oraz wszystkich innych przedmiotów dekoracyjnych po nader niskich cenach konkurencyjnych.

Za nadesłaniem nam marki pocztowej za 10 h. wysyłamy nasze bogato illustrowane cenniki, w których są opisane także towary lniane i bawełniane, bielizna męska i damska szyfony, płótna, bielizna stołowa i inne ważne artykuły, w zakres domowego gospodarstwa wchodzące. Zlecenia z prowincyi załatwia się odwrotnie.

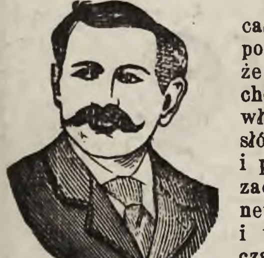
By ujść pomyłkom, prosimy na nasz adres dokładnie zwazać.

Z poważaniem Zarząd firmy:

Dom towarowy „Au Louvre“
Lwów, Sykstuska 6.

Byłem łysy.

John Craven Burleigh, pewien kupiec londyński pisze. **Jeszcze przed kilku laty była moja czaszka całkiem łysa.** Mój ojciec i dziadek byli łysi. Włosy mojej matki były z przyrody nadzwyczaj cienkie. Już byłem się oswoił z tą myślą, że zostanę łysym, aż dopóki pewnego dnia podczas wycieczki do Szwajcaryi nie poznałem się z pewnym uczonym panem w starszym wieku, który mię w ciągu rozmowy wprost zapytał, czy nie życzyłbym sobie posiadać bujny zarost włosów.



Nadzwyczaj zaciekawiony dałem całkiem naturalnie potwierdzającą odpowiedź. Wtedy opowiedział on mi, że przez całe swe życie zajmował się chemią, a w szczególności chorobami włosów. Dla potwierdzenia swych słów, zanotował on mi pewną formułę i polecił mi najusilniej preparat kazać sporządzić. Przyjechawszy do Genewy nie zaniechałem to wykonać i używałem preparatu przez krótki czas. Po trzech tygodniach poczęły się włosy odnawiać, a po **czterdziestu dniach** była moja czaszka włosami całkiem pokryta. Część pomady dałem dwom przyjaciołom; jedną część pewnej damie, której włosy prawie zupełnie były wypadły. — **Rezultat był w obu wypadkach zdumiewający.** Od tej pory, otrzymawszy wpierw od uczonego, który to odkrycie uczynił, pozwolenie, sprzedaję ten środek kosmetyczny. Jestem w przyjemnem położeniu, setki równych przykładów silnego działania u osób obojga płci dowieść. Nie jest to żaden środek tajemniczy. Gwarantuję, że nie zawiera żadnych składników zdrowiu lub skórze szkodliwych.

Aby się jednak Pan mógł przekonać o prawdziwości tego środka będzie Panu na życzenie wysłaną bezpłatna próbka, Po tem zaś, gdy Pan znajdzie, że pańskie włosy zaczynają rosnąć, może Pan nabyć dalszą ilość za cenę umiarkowaną u pana Wiliama Scotta we Wiedniu, który ma monopol sprzedaży dla Austro-Węgier.

Próbka bezpłatnie. Każdemu czytelnikowi, który mi powołując się na tę gazetę przyszle swój adres na korespondentce wyraźnie napisany, przyszlę próbkę bezwarunkowo bezpłatnie. Należy adresować.

WILLIAM SCOTT
Wiedeń, I./870 Franz Josefs-Kai 19.

Niema więcej cierpień rupturowych
dokładne i szczególne objaśnienia
(za nadesłaniem zwrotnej marki pocztowej)
przesyła bandażysta: S. Mittelmann
Czerniowce (Bukowina), ul. Pańska 19.



Kolibry . . . od 1—2 złr.
Papużki małe od 1·50—3 „
Papużki średnie od 4·50—7 „
Papugi duże . od 10—25 „
Papugi duże mówiące od 28 „
Kanarki herceńskie od 6 „

Rasowe psy
u K. Waltera L. 31
ulica Sławkowska
przy plantach w Krakowie.

BEZ NAUCZYCIELA!
BEZ NAUKI I BEZ ZNAJOMOŚCI NUT!

może każdy grać na mojej trąbce samogrającej i flecie: pieśni, tańce, i marsze. Poleca się szczególnie na wesela i zabawy. Do każdego instrumentu dodaje się darmo łatwo zrozumiała szkołę

Przesyłka za zaliczką przez dom wysyłkowy instrumentów muzycznych

A. Scheuer
w Krakowie
ul. Grodzka 59/6.

Bogato ilustrowane cenniki instrumentów muzycznych oraz zabawek na żądanie darmo i opłatnie.



Nr. 134.

Nr. 134. Trąbka samogrająca ma 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, 36 cm., złr. 1·10, 3 szt. złr. 3.



Nr. 135.

Nr. 135. Flet na 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, fason cylindrowy, 40 cm., złr. 1·50, 3 szt. złr. 4.

Eleg. spodnie spacerowe złr. 2·50

poręczonej doborowej jakości, trwałe, posiadające najnowszy fason, solidny kolor i nienaganny wiedeński krój, sprzedajemy **za bezcen** jedynie z powodu olbrzymiego zapasu; przy odbiorze **2 par złr. 4·75.** Przy zamówieniu wystarczy podać całą długość, objętość w pasie i długość w kroku. Wysyłka za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy przez

Dom Exportowy ubiorów męskich i dziecinnych
KRAKOW, GRODZKA 31.

Nieodpowiednie zamienia się bez jakichkolwiek trudności. Każde zamówienie na miarę z garderoby męskiej i dziecinnej zostanie również bardzo szybko i rzetelnie po najtańszych cenach fabrycznych uskutecznione. Aby się każdy mógł przekonać, o naszych niezrównanie niskich cenach, prosimy uprzejmie o zamówienie próbne i o liczne zwiedzanie naszego składu fabrycznego

Kraków, ul. Grodzka 31. — Dostawcy związku c. k. urzędników państwowych. — Filie w Łańcucie i w Gorlicach. 2 10-29

INSTALACYE i BLACHARSTWO
wodociągi, ogrzewania, gazowe oświetlenia
wykonuje fachowo, praktycznie i tanio, konc. firma:
Julian Tokar, Kraków, św. Jana 10 (Grand Hotel)

Darmo i opłatnie
otrzyma każdy mój bogato illustrowany cennik **Instrumentów muzycznych** oraz różnych **ZABAWEK**





A. Scheuer, Kraków
ulica Grodzka l. 59/6. 7-59

Lodownie pokojowe, Lodownice amerykańskie, Formy na lody, Siatki druciane od much, Żelazka do prasow. na spirytus
poleca
Tom. Górecki, Kraków.



Na żądanie wysyłam **wielki CENNIK illustrow. zegarów,** wyrobów jubilerskich z chińskiego srebra i t. p.
F. Pamm, Kraków
ul. Zielona 3, II. p:

UNIWERSALNY
ORGAN INFORMACYJNY
„Informator“
Kraków, ul. Szpitalna 34
poleca:
Wykazy wolnych posad i zajęć.
Wykazy majątków ziemsk. i realności celem sprzedaży kupna i dzierżawy.
Wykazy wolnych mieszkań i lokali do wynajęcia, tudzież
Wykazy letnich mieszkań.

Prenumerata wynosi: rocznie 12 K. półr. 6 K, kwart. 3 K. Pojedynczy nnmer 50 hal.

Zgłoszenia wolnych posad i zajęć przyjmuje redakcya bezpłatnie i z wdzięcznością.

Aparaty fotograficzne, zawsze świeże klisze, papiery oraz wszelkie inne przybory fotograficzne poleca po cenach nader niskich
Niemetz i Sp.
w Krakowie,
Szewska l. 2 pierwszy dom od rynku.

HELENA SZYMAŃSKA
egzaminowana akuszerka
i masarzystka wyjechała z Krakowa na sezon letni do Trenczyna (Węgry), dnia 10 czerwca br.
Dziękując za dotychczasową pamięć, polecam się i nadal łaskawym Paniom.

CUKIERINA
Kazimierz Sotschek
LWÓW
poleca się P. T. Publiczności.
Bufet w teatrze miejskim.
Wszelkie zamówienia wykonuje odwrotną pocztą.

Posiadacze losów
mogą u nas dostać za nie pełny kurs dzienny i na życzenie te same losy (tj. te same numera) grając na nie bez przerwy, nabyć na dogodne spłaty miesięczne. Losy gdziekolw. zastawione, wykupujemy i przeprowadzamy powyższą transakcyę. Polecamy uprzejmie naszą firmę do wszelkich obrotów bankowych. Kupno i sprzedaż obligacyj, losów i monet. — Ajentów żadnych nie wysyłamy. — Kalendarzyk bankowy bezpłatnie.
Schütz i Chajes, Dom bankowy
we Lwowie, plac Maryacki 7.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.